

Alimowska Ewa · Auron Halina Alfreda · Bartosz Danuta ·
Binkowski Jerzy · Brozio Mirosław · Brykalska-Naruszewicz
Anna · Buczyński Eligiusz · Ciołkiewicz Apoloniusz Bogumił
· Dobkowska Małgorzata · Dobrowolski Marek · Drozdowska
Józefa · Dudko Bogdan · Dworakowski Julian · Gudel Krystyna
· Iwańczuk Izabela · Koper Roman J. ·
Kossak Joanna · Kowalewicz Roman · Krupa Jan · Kruszewska
Mariola · Leończuk Jan · Michalski Kordian · Nazaruk Grzegorz
· Noworolska Barbara · Perk Krystyna · Piętka Hubert ·
Pisarkiewicz Mirosław · Ślaczka-Poskrobko Edyta · Puchalska-
Ryniejska Janina · Stefanowski Erazm · Suchocki Józef ·
Łukasz Szymański · Świtoń Regina · Utkin Jerzy · Wróblewska
Zofia · Zajdowicz Agnieszka

EPEA

almanach

Białystok 2014

EPEA
Almanach

ALMANACH

© 1994 EPEA
Reprinted 1994

EPEA

ALMANACH

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
Białystok 2014

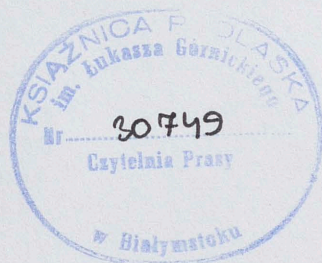
Zespół redakcyjny
Jan Leończuk
Dominik Sołowiej

Korekta
Dominik Sołowiej

ISBN 978-83-63470-38-8

TOM XIII

Wydawnictwo
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
ul. Jana Kilińskiego 16
15-089 Białystok



Nadesłanych materiałów redakcja nie zwraca.

Skład i druk
Agencja Reklamowa TOP
ul. Toruńska 148, 87-800 Włocławek,
tel.: 54 423 20 40, fax 54 423 20 80
agencja.top@agencjatop.pl, www.agencjatop.pl

Ewa Alimowska

Po lecie

Po pniach, po sękach, piosenkach gałązek
złocie bursztynu skąpanego w winie
późnego lata ślizgają się krople deszczu;
woń żywicy już ustąpiła miejsca mchom i cieniom,
zapachom grzybów, butwiejących liści.

Snują się nici pajęczyn i woda
w tamtym strumieniu, nad którym stawałeś
brązem przejrzystym i chłodem oznajmia
że koniec lata. Paprocie są czarne,
mokre i obce śmiechom dawnych czerwców;
żadnego kwiatu, poza plamą krwistą
grona kaliny nad zielenią liścia.

Tylko sosnowa muzyka ta sama,
melancholijna, nasycona ciszą.

Czołem oparta o pień brzozy, wdycham
tak uroczystą woń, jak na pogrzebie,
jak gdyby lato umierało właśnie,
a kurhan z liści sypią mu jesiony.

A jednak - szczęście.
Nawijam na palec
pierscionek z nitek wrześniowych pajęczyn.
Niech kropla deszczu zaświeci jak diament
na dłoni lasu, wyciągniętej w błękit.

Halina Alfreda Auron

JUBILEUSZ

Sobotnie popołudnie Anno Domini 2013. 06. 01.

Ciepły wiatr rozsiewa słodką woń po roztańczone obłoki. Słońce jak zwykle - nie udręczone swoją wędrówką, wraca ku zachodowi. Bocian zatoczywszy krąg nad znajomą miedzą dostojnie rozsiadł się na gnieździe zbudowanym na betonowym, elektrycznym słupie w pobliżu domostwa Wyrzykowskich. Pośród kwiatów, tui i zapachu pełnych bujnych kiści bzów przed tarasem domu o zgrabnej architekturze (dorobek Bogusława i Irenki - syna i synowej) ustawiono stół - Ołtarz. Na bielutkim obrusie w blasku świec krzyż, Pismo Święte, Tabernakulum. Gubi się rozgardiasz tego świata z codzienną krzątaniem zazdrości, waśni, pychy. Wygrywa ład z wartościami Dekalogu. Msza święta w intencji dziękczynno-błagalnej o dalsze błogosławieństwo dla Jubilatki, dla Jej bliższej i dalszej rodziny.

Doniosłość chwili z odcieniami skruchy uwypuklił gest pokornego Serca Pana Jezusa pod postacią Hostii i Wina. Na twarzach zgromadzonych zagościł błogi spokój. Ptasie arie utuliły wiatr. Błogosławieństwo od Boga przez dłonie kapłana, spłynęło na pochylone głowy. Pierwsze gratulacje i uściski od ks. proboszcza. Następne od wójta gminy ... Po czym Wójt odczytał „List Gratulacyjny od Premiera RP Pana Donalda Tuska”, i „List Gratulacyjny od Wojewody Woj. Podlaskiego. Sołtys, gorące i serdeczne życzenia z bukietem przepięknych kwiatów przekazał od współmieszkańców i od siebie na ręce Jubilatki. Następne życzenia z koszem kwiatów i słodkości popłynęły od Kierownik USC. Życzenia, kwiaty, życzenia, życzenia.... uściski i zaduma, jak każdemu zawsze czas bije wyznaczonym sobie tylko rytmem.

Jubilatka odbiera życzenia z ciepłym, serdecznym uśmiechem. W granatowej, wełnianej garsonce, z fantazyjnie zawiązaną przy szyi jedwabną apaszką w biało-czerwono-granatowy wzór, z włosami koloru srebrnego ułożonymi do tyłu - wygląda elegancko. Nogi od kilku lat zreumatyzowane wspomagają wózek inwalidzki.

Sto lat - trudno sobie wyobrazić, ile to chwil radości i zachwytu, smutku, bólu, lęku i żalu, nadziei i goryczy... Życie - ludzkie życie pełne blasków i cieni, pełne pokus, zawirowań i pokory. Ta oto kobieta - matka, babcia, prababcia - jako dziecko dreptała bosa od wiosny do późnej jesieni po zakurzonej drodze czy po rżysku, albo pasąc krowy czy stadko gęsi, zawsze od wczesnego świtu po zachód słońca. Jednakże nie była wyjątkiem. Obowiązkiem każdego dziecka była pomoc ojcu w polu albo matce w gospodarstwie domowym. Jedynym odpoczynkiem były lekcje i pobyt w szkole, a także dzień pański. Praca... praca w zgodzie z potrzebą chwili.

Każdy kłós pachniał chlebem, kiedy pole jeżyło się ścierniskiem a kark i ramiona twardniały od potu. Pajda chleba posypana cukrem, tylko od święta okryta gęstą śmietaną, zebraną z kany mleka wyciągniętej z jedenasto-cembrowanej studni smakowała najbardziej. Wtedy smak chleba - chleba pachnącego polskim żytem - zakorzeniał się po każdy przyszły czas. Każdą kruszynę chleba należało podnieść i ucałować ... Konia z rzędem temu, kto dzisiaj tak uczyni.

Bywały lata urodzaju, ale i katastroficzne. Kiedy obrodziły zboża, to stonka objadła ziemniaki, kiedy w chlewiku przybyło prosiąt, to padła kobyła, kiedy obrodziły buraki cukrowe, to gradobicie położyło zboża i z kurnika lis-chytrus powyciągał kury, że nawet Burek nie upilnował. Praca chłopca na wsi to wysiłek oparty na samodyscyplinie i na przemyślanej organizacji. Duża odpowiedzialność za zwierzynek i za rodzinne gniazdo przez całą dobę, przez cały okrągły rok. Od wszelkich utrapień była i jest tylko silniejsza miłość do OJCOWIZNY...

Zimy śnieżne, mroźne, wietrzne, kłopotliwe, jednocześnie pozwalały na zwolnienie tempa... Kuchnia ogrzewana szczapami drewnem albo torfem, duchówka, obok piec do pieczenia chleba, a od święta mięsa i drożdżowych ciast, tudzież wąska leżanka do wygrzewania „kości”. Na płycie sagan z ciepłą wodą i metalowy kruczek obok popielnika.

Długie zimowe wieczory w kręgu lampy naftowej skupiały członków rodziny i sąsiadów na tzw. „pogaduszki”. Zacieśniały one więź między swoimi. Kobiety tkwały na krosnach posażne dywany córkom, albo wyszywały czy szydełkowały obrusy, kilimy - zawsze ręce pełne

roboty. Mężczyźni układali plany pod wiosenny zasiew.

Dziwne, ze wszech miar dziwne, że w świecie licznych wynalazków, kiedy wiele czynności za człowieka wykonują przeróżne automaty, ogarnia panoszący się brak czasu...

Przecież mądrością człowieka jest sposób organizowania swojego czasu. Mieć czas tj. żyć dla innych, żyjąc dla siebie, darem każdej chwili - tu i teraz.

- „...No, bo jakoby inaczej. Jest i czas i siła... Inaczej nie można. Trzeba by nie mieć sumienia, żeby skołatana życiem - matkę, babcię, prababcię oddać do hospicjum, czy do domu starców, w opiekę obcym. Póki co, sobie radzimy. Jeszcze pod naszą opieką jest moja mama, Czesia. Ma poważne kłopoty ze zdrowiem. Leki, leki to przecież 91 lat - spracowana, chora kobieta... Przy swoich schorowanych, starszy człowiek czuje się jakoby zdrowiej, jakoby lepiej” - słowa ładnej o delikatnej budowie pięćdziesięciolatki - Irenki - brzmią odpowiedzią na wołanie Błogosławionego Jana Pawła II (Papieża rodem z Polski)- „... potrzeba nam wyobraźni miłosierdzia”....

Jubilatka w każdej komórcie, w każdym stawie czuje ciężar pracowania, niedojedzenia, niedospania.

Dzisiejsza wieś zmieniła swój obraz. Ze znikającymi z turkotem żelazniakami i gumowymi wozami weszło nowe: kombajny, auta, telewizory, telefony - era fotokomórek, komputerów, „przycisków”, „nacisków”....

Póki co Ojcowizna, jak i Jubilatka mają się dobrze. Na ich straży czuwa: syn Bogusław ze swoim synem Rafałem, czyli doświadczenie plus wiedza i młodość. Ziemia to lubi i nie zawiedzie takiej miłości.

Nad drzwiami do salonu zgodnie z tradycją wisi Krzyż. Na ścianach obrazy świętych, co chronią od dawien dawna przed chorobą, przed zarazą, pożarem, przed każdym nieszczęściem. Regał wypełniają kryminały i książki historyczne, poradniki rolnicze i kulinarne, atlasy i albumy. Gościnnie nakryte stoły skupiają gości. Jeszcze modlitwa, słowa wiary i nadziei z ust pełnego życzliwości i energii oraz poświęcenia dla kościoła i parafian księdza. I już rozmowy, szczere uśmiechy... Wzrasta apetyt. Rozchodzą się zapachy dań na gorąco: pieczony schab ze śliwką, zrazy, bigos, ziemniaczki, kotlety... surówki, woda, soki owocowe. W kręgu rozświetlonego żyrandola rodzi się

ukojenie dla duszy i ciała. Jeszcze kuszą rozłożyste serniki „z kratką”, stożkowe sękacze, pachnące murzynki i oczywiście tort piętrowy z płonącą świecą dla Stulatki. Szampan... uściski... życzenia... łzy radości... Toast „200... 200... lat niech żyje, żyje nam... a kto?”

- Jania ... kilka razy płynie toast... Jubilatka widać, że już zmęczona, mimo to trzyma się dziarsko.

Wznosi toast szklanką z wodą... Brawa, brawa tych wcześniej urodzonych i tych później łączą się, mieszają się i uzupełniają tworząc przestrzeń potomnym.

Czas Jubileuszu, wspólnego biesiadowania, był i już go nie ma, przepłynął swoim sobie znanym nurtem. Da się jeszcze zauważyć zatrzymane sytuacje i zatrzymane osoby w kadrze kamery, także na kolorowych zdjęciach. Jednak to już archiwum... Małe ziarenko ku historii.

Danuta Bartosz

PO 50 LATACH PODRÓŻ
SENTYMENTALNA

Samotność

wrzyna się między palcami
laska i kule są wsparciem
patrzą na siebie z niedowierzaniem
jak zwinęło się życie

Kobieta nie płacze
ma pracą zgarbione plecy
niegłaskane włosy
zakrywa chusta

Na podwórzu
bezdonna ławka
na niej zawiązany tobolek
bezzadności
poszukuje adresata

Na śmietniku istnienia
dzisiaj urodziny

Rapsodia spełnienia
nie do końca czysto zagrana

ZŁAPĄĆ WIATR

Mały chłopczyk
biegnąc z latawcem w ręku
patrzy w niebo
potyka się
upada i wstaje
chce poszybować
do bram nieba

Latawiec
jak marzenia
szybuje wysoko
zrzuca balast
niepewności
lot staje się
pewny i lekki

Wiatr
podrzuca kolorową taflę
uwięzioną sznurkiem
w garści chłopca
unosi wyżej i wyżej

Złapać
wiatr natchnienia
wykorzystać Jego moc
wznieść się i nie zginąć
jak
ćma
uderzająca

o szybę

MÓWILEŚ

Pamiętam chwilę
gdy w porannej mgle świtania
biegłem do kościoła w Kaszczorze

Z liści przydrożnych drzew
słońce spijało rosę
budził się las

Bóg
był ze mną
w przydrożnej kapliczce
w zapachu kadzidła
złotej hostii

Czerwonym makom na łące
mówiłem Szczęść Boże

Pogłaskałem bezdomnego psa
wydał mi się bardzo oswojony

Podobnie jak ja
miał nadzieję

* * *

Minione lata
Przeleciały
jak batem strzelił
Zmienia się świat
i dom malowany życiem

Pruje się worek biografii
rozsypują się wspomnienia i daty
tylko w albumach sepia
i na ścianach zakurzone
protoplastów portrety

Przyszłości
drzwi domu otwarte
Wiosna każdego roku

Matko
podarowałaś
wód milczenie
i skrawek nieba

nauczyłaś
modlitwy życia

JĘK DUSZY

Dobrze
że jest B e t a n i a
u przyjaciół otwarte drzwi
Kromka chleba na stole
zagubiony Matki uśmiech

Z łez zasianych przy drodze
rosną nowe dzieci
poznały już
kolce cierpienia

Nie pytaj
dlaczego
ważne
jest tylko to

co otarło się

o śmierć

* * *

Jest taki dom
- cicha oaza
gość szczerze witany
przystań jaskółki

Na werandzie domu
młoda kobieta
piersią karmi córkę
śpiewa jej o tym
że życie to teatr

gra
przy otwartej
kurtynie

* * *

Wiaro
tyś potęgą

jak korzeń
im głębiej
w ziemi
tym
odporniejsza
na wichry i burze

Na zewnątrz
niepotrzebnego gwaru



* * *

Dwie obrączki
 splecione
 ciepłem domu
 początkiem
 łańcucha
 do którego
 czas
 doda kolejne ogniwa

Sztuka
 przetrwania
 i kompromisów

Nikt
 nie przeciąga liny
 bo
 pięknie łańcuch

ogniwa
 rozleca się w próżnię

Twój głos
 gra na strunach serca

budzi wyobraźnię
 rodzi piękno

zanurzam się w nim
 słyszę
 modlitwę Anioła

Na zewnątrz
 tyle
 niepotrzebnego gwaru

Nie pukaj

W tańcu
 godowym
 nie ma ich dla nikogo

Jesteś obok
kolejny dzień
poezja
i proza naszego życia

Piszą się słowa
budzi kolejny świt

Zamykam dłoń jak muszlę
słyszę

powracające echo
twego głosu

gdzieś w oddali
zamiast dobranoc

cichy szept

jestem

bądź

Kobierzec
wspólnego życia
ubarwiony
kolejnymi kwiatami

Pielegnowana
miłość
nie umrze

przetrwa

burze

Słońce

usunie szarość

odda

zagubione barwy

Nie pukaj

W tańcu

godowym

nie ma ich dla nikogo

pośród kropli biegnących głębiej

do tej kropli z dróg mlecznych wszechświata

jest - jak dźwięczące fale oceanu

pośród kropli biegnących głębiej

do tej kropli z dróg mlecznych wszechświata

jest - jak dźwięczące fale oceanu

pośród kropli biegnących głębiej

do tej kropli z dróg mlecznych wszechświata

jest - jak dźwięczące fale oceanu

pośród kropli biegnących głębiej

do tej kropli z dróg mlecznych wszechświata

jest - jak dźwięczące fale oceanu

pośród kropli biegnących głębiej

do tej kropli z dróg mlecznych wszechświata

NIEZNANE

Nadziejo
 jestem piaskiem
 gorącej pustyni
 przygarnij ręką
 ukryj
 w cieniu drzewa
 w oazie
 bijącego źródła

Pozwól
 wspiąć się wysoko
 zobaczyć
 niewidoczne

Jerzy Binkowski

VIA LUCIS

I
 jest - słowo jasnego skrzyżowania nieba i ziemi
 twoja matka – jej ciepły oddech
 w nim prześwitujesz

II
 jest- strumień wyzwolonego światła
 jest myśl moja i życie moje
 ciało jest

III
 jest – przepasany wstęgą złocistą wokół bioder
 łąn pszenicy jęczmienia i żyta
 żyjący puls dnia

IV
 jest – w nutach okrągłych
 śpiew gregoriańskich chórów
 pomiędzy sosnami wzbijającymi się coraz wyżej

V
 jest - jak dźwięczące fale oceanu
 pośród kropel biegnących głębiej
 do tej kropli z dróg mlecznych wszechświata

VI
 w blasku odbijającym blask
 w czułości codziennej i wiecznej
 jest – błogosławione – jest

Karol Wojtyła – CZŁOWIEK

samotny mężczyzna idący przed bogiem
 skała wśród niespokojnego oceanu
 ołtarz ofiarny
 próg nadziei
 biały anioł

kiedy mówi że kocha – nie żartuje
 nie rezygnuje z obrony ludzi przed nimi samymi
 namiętnie nakłania świat do świętości
 jego siła to prostota i pokora
 poeta wiernie stojący u stóp tajemnicy bytu

upada pod ciężarem krzyża świata
 nad słabością jego ciała pokrzykiwanie i drwiny
 via crucis na oczach świata – biczowanie
 w milczeniu upadł
 nad nim jest chrystus

STARY NIEDŹWIEDŹ MOCNO ŚPI

młyny wojny mielą. tysiące osób przemielili w pył.
 tylko mgła pozostała. a nowe mgły ścielą się do stóp.
 chłodzą stopy. schładzają sierpniowe zwoje mózgowe.
 natrętnie pobrzmiewają słowa dziecięcej wyliczanki.

polski sierpień to miesiąc penetracji terenów łownych.
 bogaci sąsiedzi czyszczą i sprawdzają strzelby.
 ze wschodu i z zachodu myśliwi zachwycają się żubrami i kozami górskimi.

a na morzu foki wygrzewają białe i miękkie podbrzusze.

stary niedźwiedź mocno śpi?

KRUK

Pytała czy wie że zbliża się koniec lata
tak żaba nie kumka nie słysząc śpiewu ptaka

Pies u sąsiadów szczeka a kombajn wyje
ścina kukurydzę i miazdży na drobne

Refleksyjny jest wieczór z astrami w rabatce
per aspera ad astra leci biały kruk samotnie

upade pod ciężar on krzyża światła
nad słabością jego ciała pokrzykiwanie i drwiny
via crucis na oczach świata – okrucieństwo
w milczeniu upadł
nad nim jest chrystus

NA SKRAJU

jak na wojnie liście gromadnie opadają
takie drżące i jakby w tańcu - tu walec przejechał
głowy żarzą się jak głównie płomieniem gasnącym
serca pękają niczym orzechy żołędzie granaty

nim spadną na ziemię zdychają w powietrzu
w ostatnim podrygu krztuszą się kurzem
piachem żwirem i rżyskiem ze zżętych pól
a krew coś krew - schnie jak maliny na żółtym krzaku

jeden wielki krzyk krzyż historii

Czy stało się tak gdy rano wychodził z łowami na łęce
a może gdy poszli ścieżkami i ze śpiących oczyma szedł bliźnowy giel
i tak bardzo myśleć zimno i ciemno było dookoła okopów

Pewnie na barany i owce rozdzielni zaprosił nie krzyżesz
pewnie tłumaczył im jak działał świat na rowie
kochaj bliźniego swego jak ducha twój

A wiele lat później znaleziono two ciało mokre i śliskie
i jeszcze później nazwano ciebie jakby żartobliwie
płogostawiony cały szachmatowy

ALFONS JERZY POPIELUSZKO

Imię dziecka rodzi się w głowie matki i ojca wcześniej
niż zobaczą na własne oczy wilgotne i śliskie ciało dziecka
zobaczyli że to chłopiec i powołali na patrona świętego alfonsa
od różańca i godzinek o niepokalanym poczęciu najświętszej maryji
od trzeźwego patrzenia na siebie i innych ludzi w rachunku sumienia
od bezustannego obdarzania innych dobrocią i duchową pociechą

Święty alfons prosił boga o światło lepszego poznania siebie
prosił o łaskę bożego natchnienia w pracy nad swoimi wadami
prawdziwie i solidnie załatwiał wszystkie sprawy jakie mu powierzono
brat alfons z wielką roztropnością przejmował rolę kierownika duchowego

Umiał cierpliwie słuchać odpowiadając uważnie na boże natchnienie
furtianin oddany nieustannej modlitwie i mistycznej kontemplacji
A dzisiaj mówią o tobie inaczej – alku – błogosławiony męczenniku
mówią: ksiądz jerzy od solidarności od zwyciężania zła dobrem
gdzie nauczyłeś się wyraziście dostrzegać dobro ponad złem?

Czy stało się tak gdy rano wychodziłeś z krowami na łąkę
a może gdy bosymi stopami i ze śpiącymi oczyma szedłeś pilnować gęsi
i tak bardzo mgliście zimno i ciemno było dookoła okopów

Pewnie na barany i owce rodzinnej zagrody nie krzyczałeś
pewnie tłumaczyłeś im jak dziad krowie na rowie
kochaj bliźniego swego jak ducha świętego

A wiele lat później znaleziono twe ciało mokre i śliskie
i jeszcze później nazwano ciebie jakby żartobliwie
błogosławiony czyli szczęśliwy

SOLECZNIKI – EJSZYSZKI – JASZUNY: 14.09.2014r.

polak to ważny gość: gryczany brąz i samotność w poprzek
a wzdłuż wydłużony grymas i garnek dorabiany
pozłacane plecy jak w monastyrze lustro monotonne
pszczeli smalec w drodze do czerwonego światła – czy to nie żart?

krowa ślęczy nad trawą w rowie pełnym błota jak okutana owca
grodzisko otoczone rojstami w środku miód z samego spod serca
eternitas wyprowadzę przez uśmiech gdzie wyębają się białe zęby
wspomniane plecy szutrowa droga i niezawodne ruiny: dużo małych kamieni

modlitwa w obu językach błogosławi przedni chleb z pszenicy i żyta
płonie ognisko na melodię stanowienia cząstki prastarej ojczyzny
w walkach z sowieckimi oddziałami w hołdzie synom w ziemi tej
wileńskiej i nowogrodzkiej wśród wierszy i poematów tutejszych poetów

CO ZROBISZ PANIE Z JEGO NIEWIERNOŚCIĄ JAKŻE CZUŁĄ A PRZECIEŻ BEZWSTYDNĄ

nie odwraca głowy od telefonu dźwięcznie zapraszającego do tańca
nie dostrzega różnicy pomiędzy barwami cieni i kolorami rozbitego szkła
muzyka skrzypiec i dźwięk organów a potem łyżwy na ślizgawce i
wiele nóg

mróz

oda do wielkości i zasypianie pośród zmęczonych bałaganem poduszek
i sam czuje się obezwładniony dotykając swojej niewierności codziennej
te wymarsze w stronę lasów na wzgórzach bez żadnego uzgodnienia

co zrobisz panie z moją niewiernością jakże czułą a przecież bezwstydną

Czy stało się tak gdy rano wychodziłeś z krowami na łąkę
a może gdy bosymi stopami i ze śpiącymi oczyma szedłeś pisać gości
i tak bardzo miłacie zimno i ciemno było dookoła okopów

Pewnie na bezrury i owce rodzinnej zagrody nie krzyczałeś
pewnie tłumaczyłeś im jak dziać krowie na rowie
kochaj bliźniego swego jak ducha świętego

A wiele lat później znaleziono twe ciało mokre i śliskie
i jeszcze później nazwano cię jakby żartobliwie
błogosławiony czyli szczęśliwy

ALLELUJA

Tyle pięknych Kobiet widziałem wieczorem na cmentarzu
jakże wymownej Młodzieży
i Dzieci białych niewymownie
- fale płyną kołyszą modlą
Suną potężne barytony basy i tenory
ponad sosny dęby brzozy jesiony i klony
wołają wojują iskrzą skrzą warczą i walczą
- effatha
w przedziwni w ulotni w łagodni

2.11.2014.

Mirosław Brozio

Pomnik bohaterów

W wygrawerowanym napisie
Grzeją się jeszcze dusze umarłych
W mniej uroczyste dni ptaki lądują na górze
A psy dyskretnie podlewają wybujałą trawę
Ja kloszard
Piję za ich dusze.

Miedza

Sadzę na niej jabłoń
Obsypie się kwiatem
I urodzi karłowate jabłka
W miąższu ich etyki
Niewiele wiedzy na temat dobra i zła
Czy wystarczy dla mnie i sąsiada?

Mezaliany

Nie akceptują tej miłości
Ci z na przeciwka, co mają psa i czwórkę dzieci
Oszalał!
Jak mógł zostawić żonę?
Dla jakiegoś
Chudego szczęścia.

Życie zgodnie z naturą

Budzę mięśnie
Wyciskając ku niebu kilogramy żelastwa
Łykam chiński czosnek, co obniża ciśnienie
Ilość kalorii dopasowuję do nocnych niespodzianek
Jestem prymusem
Przyszłych nieśmiertelnych
Przy goleniu wciąż pytam się lustra
O promocję na następny rok.

Reprezentacyjna ulica miasta

Przycięte czubki drzew
 Nie kłują w podbrzusze niskich chmur
 Nie chłoną deszczu z miejskich rynien
 Wgryzają się w twardość betonu
 Chcąc poskarżyć się piekłu.

Piknik na wycince

Thusty papier od wędzonej kielbasy
 Znika w leśnych zakamarkach ścieżek
 Siedzę na trupie brzozy
 Wierząc, że jej śmierć nie pójdzie na marne
 Papier z jej ciała
 Zapisze czyjeś metafory.

Ale Bóg jest po naszej stronie.

Pusty nagrobek

Ogrodzony kwadrat ziemi
Z przyszlým mauzoleum
On jest kimś ważnym
Zawsze prowokuje do pytań
Wiele zrobił dla tutejszych mieszkańców
Niedokończony rozdział
Wyryty na kamieniu
Urodził się ...
Zmarł...

Oni

To Oni
Zasnuli niebo gradowymi chmurami
Które pożarły tegoroczne zasiewy
To Oni pragną nas zniszczyć
I umówili się z rządzącymi
Aby obniżyć ceny skupu
W ciemnych biurach swoich banków
Knują, jak nas zadłużyć
Wciąż odradzają się, jak zaraza
Ale Bóg jest po naszej stronie.

Nie było nam to pisane

Los nie skręcił się w jasne warkocze naszej córki
Wiem, że mogłaby mieć twoje oczy
Nie odkryliśmy chaszczy poranków
Ani zagubionych miłosnych opowieści
Czasami widzę, jak prowadzisz dziecięcy wózek.

Próby pisania wiersza

Próbowałem napisać wiersz
O pobliskiej topoli
Skazanej na półkę w tanim zestawie mebli
O rzece, której nie dotykam ręką, a czuję jej chłód
O stole dębowym, na którym rozlany miód
Oburza okoliczne pszczoły
I o popołudniowym hamaku
Co zawsze niweczy wszelkie próby.

Anna Brykalska-Naruszewicz

Histerium życia

Zalatani zabiegani
Niekochani niedogrzani
Wypłukani niewyspani

Co dnia

Oswojona przyroda milknie

Porzeczkki cicho szepczą w swej starości
Płatki piwonii głaszczą już trawę
Siwa jabłoń w słońcu rodzi cień smutny
Trzmiel stara się rozbuczyć
Dawną młodość ogrodu bez pana
Trąca struny zastygłego powietrza

Coś brzmi?

Przeciąganie liny

Wieś przegania miasto
Miasto zatracą wieś

Dwa żywioły
Jeden cyborgiczny
Kolejny niekoniecznie sielski

Ludzie pytają
Czy oby są te światy?
Czy coś z nich ubyło?

Czy obok siebie mogą
I chcą istnieć?
Wersją poety
Czy tego który mierzy
Świat
Megabitami?

Dla piękna
Pożytku
Czy ku zagładzie?

A może dla nadziei?

Znajomy zwyczaj

Czasem udajesz wariata
By wydobyć to coś
Co lekko zachwiane
/Jak zawiany gość/
Ale dziwnie bliskie
Jak zagubione
Ulubione rękawiczki
Wspomnienie niepokoju
Trzydziestolatki
Która nie wie z kim
Albo pierwszy upadek
Z sanek

Eligiusz Buczyński

Wyścigi kredek

To był bardzo mały pokój, połączony razem z kuchnią. Na ścianach zacieki po tłuszczu i nie rozgonionej parze. Domownicy byli ze sobą skłóceni i każde z nich gotowało osobno. Kiedy wchodziła kobieta, mężczyzna zamykał się w innym pokoju i nie wchodził do kuchni, dopóki kobieta z niej nie wyszła. I na odwrót. Fajerki z gazem chodziły na okrągło, garnki stukały o siebie, a pokrywki spadały i toczyły się po podłodze. Dziesięcioletni chłopak, który dostał w końcu swój samodzielny pokój, połączony wraz z kuchnią, co było minusem, wyłapywał toczące się pokrywki.

Po gotowaniu zostawał smród. Zwłaszcza po mężczyźnie, który delectował się mózdkami, ozorkami, cynaderkami. Flaki chłopcu się skręcały, aż do skurczów żołądka. Ledwie powstrzymywał wyrzykanie zawartości całego swego zbolełego dzieciństwa. Ale się powstrzymywał. Później wszyscy wychodzili i miał dla siebie chwilę. Brał zeszyt, wrywał podwójną kartkę ze środka i zaczynał rysować kredkami. Rysował dom, zawsze ten sam, trzy okna, poddasze, dachówka. Drzewo przy domu, drogę i kilka kolorowych kwiatków. Nad domem chmury spowijały niebo, a w rogu ćwierć – słońeczko rzucało promienie, które nie dosięgały budynku. Zrobienie rysunku i pokolorowanie go kredkami zajmowało mu 15-20 minut. Nigdy ich nikomu nie pokazywał, bo się wstydził. I czuł, że powinien rysować bardziej chłopięce i dojrzałe obrazki. Cóż z tego, kiedy nie potrafił sklecić choćby samochodu. Dom na obrazku był zawsze zewnętrznym domem, zbudowanym ze ścian i okien, przez które nie było nic widać. Choć zajmował centralne miejsce na kartce, był widziany jakby z oddali i za mgłą.

Wieczorem szykował się do snu. Składał stół i rozkładał łóżko. Regał, stół i tapczan były złożone w jeden mebel. Bardzo ciężki, masywny i nie do ruszenia. Chłopak rozkładając łóżko, drżał o to, czy nie spadnie mu na nogi i go nie zabije. Rozkładał prześcieradło, wyglądał zmarszczki, dwie poduszki, jedna na drugą i kołdrę. Jeszcze

musiał odczekać, aż każdy z domowników przejdzie przez jego pokój – kuchnię, do łazienki i tam załatwi swoje potrzeby. A potem gasił światło i nigdy nie mógł zasnąć.

O szóstej rano, udając, że śpi, słyszał, jak najpierw kobieta, otwiera drzwi i wchodzi do kuchni. Starła się być cicho, ale to z obawy o to, żeby nie zbudzić śpiącego w pokoju obok mężczyzny. Odkręcała gaz, podpałała kurek, stawiała czajnik. Chłopiec nawet lubił ten szum palącego się gazu. Choć nie spał, to wydawało mu się, że marzył tak głęboko, że nie był obecny. Nie było go nigdzie. Marzył najczęściej o dalekim, dalekim morzu. Potem kobieta robiła kanapki. Kilka cięć nożem, trochę stuków ostrza o deskę do krojenia, wyjmowany talerz szorujący o inny talerz i papier śniadaniowy, szeleszczący, ugniatany, dokładnie poddający się dłoniom i palcom kobiety. I kiedy wychodziła z kuchni, chłopiec wracał do marzeń o dalekiej podróży i przygodzie. Godzinę później wchodził mężczyzna, odważnie, otwarcie, mówiąc cześć do już nie udającego, że śpi chłopca. Następnie wyciągał patelnię i smażył. Smażył, smażył, dopóki cały dom nie przeszedł zapachem wytapianych skwarek, a ściany wchłaniały skwierczenie, by później oddawać je w najmniej spodziewanym momencie. Nieraz chłopcu zdawało się, że słyszy tłuszcz i wrzucane do niego kawałki mięsa, długo potem kiedy w domu nie było już nikogo. Ale w końcu w domu i nad całą okolicą, tak jak na jego obrazkach, zalegała długa, stateczna cisza. Chłopiec wstawał i zjadał swój waniliowy serek, kawałek chleba, a oczy, aż iskrzyły mu na myśl o czekającej go zabawie.

Przy użyciu wszystkich sił składał z powrotem łóżko, wyciągał i rozstawiał na jego miejsce stół. Dwie nogi stołu były krótsze przez co stół stał nachylony pod pewnym kątem i można było urządzać wyścig kredek. Wszystkie te kolorowe pałeczki wypełnione grafitem, które wykorzystywał do rysowania swoich smutnych obrazków, nabierały nowego życia, zaczynały udział w prawdziwych zawodach. Najpierw jednak trzeba było wytrzeć porządnie blat. Zebrać ściereczką wszystkie okruchy i wysypać je w nastawioną garść. Co nie trafiło, spadało na ziemię. Rozłożony na podłodze chodnik wiecznie był brudny i zakruszony, ale do soboty nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi. To, że stół miał krótsze nogi i talerz zupy stawiany na nim przechylał się jak statek podczas burzy, tak, iż zupa się z niego wylewała, też nie sta-

nowiło problemu. Kawałek zgiętej kartki pod nogi i można było jeść. Teraz karteczki zostawały usunięte, jak bloki startowe, i można było ruszać. Toczenie kredek sprawiało chłopcu przyjemność i stanowiło czystą frajdę. Przeważnie najszybsze były te z ułamanym grafitem i krótkie.

Świat zawęzał się tylko do jednego, świat mrużył oczy i skupiał się tylko na tym, żeby dostrzec, która kredka dotknęła którą i okazała się szybsza. Czas płynął nieubłaganie, a kredek były dziesiątki, starych lub bardzo starych, ale każda dostawała szansę. Bez jednej wyścig nie byłby ważny. Tuż przed samym finałem, chłopak nagle coś sobie uprzytamniał. Zerkał na zegarek, wyskakiwał z piżamy i wkładał spodnie i sweterek. Wychodził z kuchni na korytarz i nakładał buty. Jeśli była potrzeba, również kurtkę. Następnie pakował plecak. I kiedy wszystko było już gotowe, wracał do stołu i na stojąco puszczał kredki, te najszybsze, które darzył największą sympatią i uznaniem. Każda z nich lśniła czymś wielkim, pachniała nie drewnem, ale zwycięstwem, była w jego oczach kimś, nie czymś, ale kimś niezwykłym.

Wypuszczał ostatnią parę. Jedna obok drugiej. Na miejsca. Gotowi. Start! W swoim ostatnim wyścigu, kredki zaczynały się toczyć po zwycięstwo. Oczy chłopca napawały się tym widokiem, pełne zachwyty, nie roniąc nawet nanosekundy z owego widowiska. Nagle jedna zaczynała wyprzedzać drugą. W miarę jak blat stołu nachylał się coraz bardziej, tym większa stawała się jej przewaga. Zdecydowane zwycięstwo! Mistrzynie! Bohater!

Chłopiec spoglądał na zegarek, wrzucał kredkę do plecaka i biegł. Wybiegał z domu do szkoły jak strzała, szczęśliwy, że nie sam, że ma ze sobą zwycięzcę wszystkich zawodów. Zawodów puszczenia kredek.

Apoloniusz Ciołkiewicz

Rower Cześka

Wieś Łubinki koło Zabłudowa. Noc... Na pewno już będzie już sporo po północy, a szesnastoletni Czesiek Korneluk wciąż nie może zasnąć. Na nowo przeżywa to, co w ciągu dnia zdarzyło mu się ze Stefką Borowskich. Przewraca się z boku na bok i czuje, że mu nabrzmiwa męskość. Stefka tam go dotykała, a on dotykał jej. Próbował w nią wejść, ale nie pozwoliła. Chociaż jej ręka też dała mu wiele przyjemności...

I pomyśleć, że wszystko przez głupi żart. Wlażł pod tę czereśnię i powiedział, że strząśnie dziewczynę, gdy ta mu czegoś nie pokaże. Co miała robić? Zeszła i pokazała, a potem zaczęły się macanki... Powiedział jej, że chce zobaczyć, czy prawosławne dziewczyny też to mają jak katolickie. I nie tylko zobaczył...

Czesiek wstaje, żeby napić się wody. W sąsiedniej izbie śpi rodzice, w jego pokoju posapują dwunastoletnie siostry bliźniaczki – Malwinka i Krysia. Wychodzi do kuchni, bierze metalową kwartę, pije... Woda jest ciepła, niesmaczna. Wyszedłby do studni, ale nie chce budzić śpiących domowników...

Nagle chłopakiem wstrząsnął dreszcz niepokoju. Od strony lasu rozległo się pohukiwanie sowy, a potem ryk jakiegoś zwierza. Jeleń? Łoś? Eee, trzeba spać.

*

Czerwcową noc 1942 roku była duszna. Ledwie Czesiek zasnął, gdy obudził go warkot motocykli. Na pewno Niemcy! Ale czego mieliby szukać w ich spokojnych, położonych na uboczu Łubiankach?

Nadjechali od strony Białegostoku. Psy podniosły wrzawę, kiedy dwa motocykle wjeżdżały na podwórkę, pierwszy pojazd uderzył w ledwie trzymający się płot i położył go na całej długości. Psy – Zagraj i Rudy schowały się do swoich bud, ale po chwili Rudy wyskoczył nagle i spróbował capnąć za łydkę jednego z żandarmów. Strzał z pi-

stoletu i skowyt umierającego psa rozległy się niemal jednocześnie.

Niemcy! Jak zwykle głośni, brutalni, pewni siebie. I nieobliczalni. Czesiek widział ich już kilka razy, raz nawet zobaczył w Białymstoku cały oddział z trupimi główkami na hełmach. Tato mówił, że ci są najgorsi, to esesmani... Ale tym razem mundury były inne, Chłopak wiedział, że to żandarmi. Czego tu chcą?

– Wo ist dein Vater? (Gdzie twój ojciec?) – usłyszał Czesław. On pierwszy wyskoczył z chaty, żeby rodzice i siostry mieli czas się ubrać, bo przecież już dobrze po północy i leżeli w łóżkach. Był szybki. I w jedzeniu, i w ubieraniu. Dlatego wybiegł pierwszy na podwórko. Czesiek rozumiał po niemiecku. Kiedy jeszcze była polska szkoła, a potem sowiecka, uczył się niemieckiego. Poza tym po niemiecku mówiła babcia, mama matki, ale w 1940 wywieźli ją do Kazachstanu...

– Vater ist zu Hause. (Ojciec w domu)

– Gut.

Niemcy zaczęli pakować się do chaty, wrzeszcząc gardłowo, wzorowo rozsiewając atmosferę przerażenia. Ojciec zdążył już wciągnąć spodnie, matka dopinała spódnice, tylko Malwinka i Krysia popłakiwały cichutko, leżąc obok siebie...

– Alle raus!!! – zawył Niemiec, będący najwyraźniej dowódcą patrolu. Wo sind Juden?

– Znaczy, Żydy? Tu nie ma żadnych Żydów – ojciec powiedział to pewnym siebie głosem. Czesiek wiedział, że mówi prawdę. Trzech Żydów przyszło wczoraj z lasu, ale ojciec nie chciał, bał się ich zatrzymać. Dostali trochę jedzenia i wieczorem poszli w stronę Zabłudowa.

– Zaraz zobaczymy – zagadał zniienacka po polsku jeden z Niemców. I do ojca: – Otwieraj wrota od stodoły!

Do stodoły weszło ich trzech, pozostałych trzech ustawiło się ze wszystkich stron zabudowania. Jeden z nich, wysoki blondyn, chwycił widły i zaczął dziabnąć nimi w siano złożone w sąsieku. W pewnym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk.

– Jude, raus! – wrzasnął żandarm i spod siana wygramoliła się obdarta postać Żyda. Czesław rozpoznał w nim jednego z tych trzech, którzy wczoraj prosili ojca o pomoc. Żandarm kopnął klęczącego.

Ten, który mówił po polsku, podszedł do ojca i uderzył go w twarz: – Mówiłeś, co nie ma Żydów! A ten?

– Ja nic o nim nie wiedziałem – plątał się ojciec Cześka – jak wczoraj przyszło ich trzech, to pogoniłem. A ten się schował, ja nie wiedziałem...

– Przyszło trzech Żydów, a ty co? Pogoniłeś ich, zamiast powiadomić policję? Wiesz, co za prawo za ukrywanie Żydów?

– Ja nie ukrywałem. Ten jeden się schował...

– Trzymaj pysk! I pod ścianę

Żandarmi postawili ojca pod ścianą. Jeden zdjął karabin z ramienia. Huknął strzał. Ojciec zwał się na ziemię, drapiąc jeszcze palcami wyschniętą od upału murawę...

– Idźcie po resztę – powiedział wysoki blondyn do swoich zbirów. Wyciągnęli z chałupy matkę oraz obie bliźniaczki. Matkę zastrzelili, dziewczynkom rozbili głowy kolbami. Szkoda marnować naboju...

– A co z tym? – zapytał starszy żandarm z wyraźnymi śladami siwizny na skroniach.

– Trzeba go zostawić, niech ich zakopie. Bo smród będzie na całą okolicę.

– A Żyd?

– Żyda zabieramy. Na posterunku wyśpiewa, gdzie jego Kamera-den. a potem wedle przepisów.

Nagle wysoki blondyn zobaczył stojący obok chałupy rower.

– Dein Fahrrad?

– Twój rower? – usłużnie przetłumaczył inny.

– Mój – szeptem odpowiedział Czesio.

– Jak tak kochacie Żydów, to daj temu parchowi rower.

Wsiadli do motocykli, natomiast schwytanego Żyda posadzili na rower, przywiązawszy go sznurem do jednego z pojazdów. Zaśmiewali się przy tym, kiedy pojmany przewracał się, nie mogąc nadążyć za motocyklem.

Czesiek na odjezdne usłyszał jeszcze:

– Niech przyjdą sonsiady i zakopio twoje rodzinę. Ty zostałeś żywy, żebyś Polakom i Białorusom powiedział, co grozi za ukrywanie Żyda.

A Czesiek wiedział, że już nie zaśnie. Wlaż do obszernej budy Zagraja i wtulił zapłakaną twarz w szorstką psią sierść. Nie czuł nawet harcujących po nim pcheł...

*

Z samego rana zjawili się sąsiedzi: Pokrzywnik z bratem, Hryciuk z dwoma synami i stara Leonciakowa. Ściągnęli nawet wikarego z Zabłudowa. Bali się wyjeżdżać ze wsi, więc rodzinę Korneluków pochowano w sadzie za stodołą, obok papierówki, która była na pół uschnięta. Tylko z Cześciem nie było żadnego kontaktu. Cały czas płakał i opowiadał, jak to Niemcy zabrali jego rower...

Kiedy się ściemniło, chłopak poszedł w kierunku sąsiedniej wsi Zwierzaki. To tylko półtora kilometra, a tam mieszka Stefka z rodziną...

U Borowskich paliła się lampa naftowa, z kuchni dochodziło niemieckie szwargotanie. Zbliżywszy się do płotu zauważył jakąś ciężarówkę, przy której leżał Niemiec w mundurze. Najwyraźniej spał, ale był też pijany, bo co jakiś czas coś tam bełkotał przez sen.

Obok drzwi stodoły zobaczył jakąś jaśniejszą plamę. Pociemniało mu w oczach. Tam leżała Stefka z podwiniętą sukienką i rozrzuconymi szeroko nogami. Nie ruszała się. Pomyślał, że nie żyje. Gdyby podszedł bliżej, mógłby usłyszeć jej cichy oddech spłycony gwałtem i wlanym również przemocą alkoholem.

I wtedy Czesiek zauważył, że Niemiec ma u boku rozpiętą kaburę z pistoletem... Taka okazja! Chłopak ostrożnie podpełzł do pijanego Szwaba, ale kiedy sięgał ręką w kierunku kabury, przewrócił się na niego, potknąwszy o jakiś kamień.

Niemiec był tak pijany, że nie rozeznał się w sytuacji. Złapał Cześka za rękę i położył tę rękę na swoim kroczu:

– Weiter, weiter – wymamrotał, bo mu się najwidoczniej wydawało, że to Stefka chce się z nim jeszcze zabawić. I wtedy Czesław lewą ręką chwycił kamień, a potem tym kamieniem z całej siły walnął mężczyznę w skroń. Hitlerowiec krzyknął „Herr Je” i krótko zarzęził.

Z kuchni odezwał się głos drugiego Niemca:

– Was ist los? (Co się dzieje?)

– Mücken! (Komary) – Czesiek wrzasnął najgrubszym głosem, na jaki go było stać.

Po czym błyskawicznie wyszarpnął z kabury pistolet, wyskoczył w opłotki i pobiegł w kierunku pobliskiego lasu. Nawet nie zauważył,

że jakieś świetliste muchy przełknęły koło jego twarzy...

– Kujwa, kujwa, kujwa – mruczał do siebie. Po raz pierwszy nie mógł wymówić głoski „r”, która tak gardłowo brzmiała w ustach Niemców... Żeby miał jowej...

Małgorzata Dobkowska

NA WZGÓRZU MAGDALENY

Eli Michalskiej

przymierzam się do zdjęcia
 przykucam po kolei eliminuję
 kolory natłok reklamy
 słupy kosze latarnie
 śmiecie żelastwo

zostaje czysty zwarty kadr
 ogród japoński minimalizm
 beton zgrabiony

wyczyszczony sterylne
 i nagle zaczyna mi w nim
 czegoś brakować

przepraszam podnoszę się
 i po kolei dokładam
 elementy kolory ślady
 niespodziewanie w rogu pojawia się
 żółty plastikowy kurczaczek?

wczepiony w asfalt nóżkami
 mówi że nie ruszy się stąd¹
 nawet za Chiny Ludowe

i wybiera wolność odfruwając
 zostawiając na piasku
 wiórek piórka cyfrę
 niegłośny dźwięk pi

uwaga zmiana taśmy

PIOSNKA WINNETOU

od domorośłych filozofów
 samozwańczych zbawców stworzenia
 którym wszechświat obraca się
 wokół ich brzucha
 o wybaw mnie Manitou

od dużych acz niewysokich
 o rozbudowanym ego
 monstrualnych rozmiarów
 wokół których porusza się
 księżyc i upadają gwiazdy
 ustrzeż mnie Manitou

od jadu i plotek
 kochanych pobratymców
 wkurzonych krwiożerczych chrześcijan
 i fałszywych buddystów
 ochroń mnie Manitou

od nienawiści i zazdrości
 sąsiedzkiej bratniej „pomocy”
 prawdziwie miłujących świat
 istot
 strzeż mnie Manitou

daj mi się trzymać krzywo a prosto
 niby głupio a godnie
 nie każ mi nienawidzić śmiać się zza węgła
 jeno podchodzić mustangi na rozległych preriach
 podziwiać ich ruchy bieg ku słońcu
 dziękuję Ci za ten widok Manitou

od niskiego knucia
 fałszywych rozrywek

popychania kogoś na stoku
i wyśmiewania jego głupiej miny
brudnej od piasku i śniegu
trzymaj mnie z daleka Manitou

nie muszę nawet dzierżyć szpilki
do przekłucia balonu
nie chcę by uchodzący syk
przekręcił wyblakłe lotki
mego indiańskiego pióropusza
hough

IV 2013

POŻEGNANIE Z PLANETĄ

chcę napisać epitafium
epitafium dla planety
czuję że coś jest nie tak

żegnam się z Tobą o dostojny Plutonie
starożytny wypełniony natchnioną chwałą
o nabrzmiałym błyszczącym od iglic korpusie

wynieśliśmy Cię w nieboskłony prześwietnej hierarchii
teraz o niewdzięczni małostkowo nagle i gwałtownie
spychamy Cię w dół

Twój satelita Charon zabiera Cię łódką
z pozornego świata lepszych planet

gdy w tej chwili nagle niespodziewanie
spoglądam w Hierapolis z szacunkiem
na twą ukrytą bramę
do innego świata
jest mi przykro i żal

proszę przyjmij skromne przeprosiny w imieniu ludzkości
wybacz jej krótkowzroczność zabawę i głupotę

egzystuj dumnie jak dotychczas zadbany wzniosły
tzw. ludźmi z zaledwie trzeciej planety się nie przejmuj
ich czarnowidztwem lękiem ubytkami wzroku

* * *

patrzy na mnie tym czujnym spojrzeniem
a ja patrzę na niego
długo (?) póki nam się nie znudzi
i każde pójdzie jednak swoją drogą

świat jest tak piękny
że boisz się westchnąć
by go nie spłoszyć

nasze drobne osobne planety
warczą i obwąchują się
nawzajem jak zwierzęta

* * *

Marek Dobrowolski

mówią że taka jest kolej rzeczy
dlaczego więc ciągle
wykonuję klasyczne bunty
śmieszne gesty o małym znaczeniu
skaczę podskakuję
staję płotką i okoniem

pod starą
mokrą podłogą
piwniczka z leżnicą
z w piecu miłość
gorącymi kafełkami
emanuje
i do stołu zaprasza

okna uśmiechają się do przechodniów
a dym z kominu
wędzi uczucia
dobry
szczęście
i piękność

od zawsze

LOTNE

ach wróżko - ważko
mała broszko serca
odczepiona – w niebyt

świat jest tak piękny
że bolasz się westchnąć
by go nie opuścić

nasze drobne osobne planety
warczą i obserwują się
nawzajem jak zwierzęta

Marek Dobrowolski

* * *

w domu marzeń
budujesz ścianę z nienawiści

pod starą
mądrą podłogą
piwniczka z łez nieotarta
a w piecu miłość
gorącymi kaflami
emanuje
i do stołu zaprasza

okna uśmiechają się do przechodniów
a dym z komina
wędzi uczucia
dobre
szczerze
i piękne

od zawsze

* * *

spijasz skórą słońce
a przy skroniach
cień
przybity złym wspomnieniem
kolebie się
jak zjawą

proszę
powrót zapachem mięty
obudź ciepło
i bądź ciepłem
a słońce
ci pozazdrości

* * *

przestraszone motyle
odleciały

więc to koniec
wyczerpało się
niczym wypisany długopis
którego potem szkoda
wyrzucić do kosza

nieużywany
leży w piórniku byłych
z czasem pustych
wspomnień
pisanych niemym atramentem
na papierze
na którym nie słyszać krzyku
tęsknoty

nie przeganiajcie motyli
może powrócą

* * *

zaciągnąłem
nieograniczony kredyt
szalonej miłości
bez prowizji skrępowania
bez opłat pruderii
oprocentowany pocałunkami

dzisiaj spłacam go
z bólem rozstań
i odsetkami łez

ile jeszcze lat

Józefa Drozdowska

Karnawałowe zabawy we wsi nad jeziorem

Po Nowym Roku przyszedł ogromny mróz. Skuły wszystkie wody poza studniami, które mają głębokie źródła. Okna w domach ozdabiają podwójne firanki. Te mozolnie robione z nici wieczorami na ramie lub jedwabne zakupione na rynku oraz te inne, tkane przez mróz na krosnach szyb. Przeszły już szaleństwa sylwestrowe i noworoczne, kiedy nie zważając na zimno wciągano na dach domu, gdzie są panny na wydaniu, elementy z wozów żelaźniaków i ukradkiem na szybach ich domów pisano popiołem cyfry młodzieńczego roczku. Z ich umyciem dziewczyny będą teraz czekały aż do odwilży. A ta nie zapowiada się szybko!

W Nowy Rok pod wieczór dzieci wyszły się nie mała, chodząc od domu do domu w przebraniu za Cyganów. Teraz każdą wolną chwilę spędzają zjeżdżając na sankach z licznych pagórków rozsiadanych po wsi, jeżdżą na łyżwach przywiązanych sznurkami do butów na przyzagrodowych sadzawkach, zamrożonych tuż za płotem bielach i skutym lodem jeziorze oraz wyżywają się na okrętawie.

Rodzice szykują się do karnawałowych zabaw. Panie przeglądają w szafach stroje. Coś nowego zdarzyło się im kupić na noworocznym jarmarku w Augustowie. Chociażby nową bluzkę, pomadkę do ust czy mężowi krawat. Jednak to mniej zdaje się być ważne od tego, że kilkakrotnie spotkają się w znanym i lubianym gronie na potańcówce. A ileż przy tym będzie rozmów, na które nie ma aż tak dużo czasu w inne pory roku! Ileż snucia planów na przyszłość! Musi przecież różnić się ona nieco od teraźniejszości, bo czas nie stoi w miejscu, czas ciągle płynie i niesie nowe problemy, i wyzwania również na wsi. Pochwalać się karnawałowymi wypiekami. Niektóre z nich uczestniczyły w kursie Koła Gospodyń, więc czymś nowym zaskoczą sąsiadki. Panowie przygotowują zaś alkohol, który pozwoli im cieszyć się łatwiej.

Na Trzech Króli wieczorem pomimo tęgiego mrozu prawie cała wieś zbiera się w szkole, która na ten czas zamienia się w teatr. Starsza młodzież, często przy pomocy rodziców, przygotowuje na ten dzień kome-

dyjkę. Maryja tuli nowo narodzonego Synka. Józef troszczy się udaną o ich ucieczkę do Egiptu. Groźny król Herod ścina głowy niewiniątkom, a diabeł szaleje po całej sali z radości. Całe szczęście nie brakuje aniołów, które zawsze zaradzają biedzie i wszystko kończy się Happy Endem.

Wraz z obejrzeniem komedyjki wieś jakby zyskała przyzwolenie na wiejskie bale. Karnawałowe zabawy nazywane są składkowymi, bo każdy przychodzi na nie z koszyczkiem, w którym nie brakuje świeżo uwędzonych kiełbas, kotletów, pudrowanych pączków niczym wielkie jabłka z wiśniami w środku, chrustu i karnawałowych róż. Od Trzech Króli aż po zapusty w sobotnie czy niedzielne wieczory w domach, które mają większe alkierze, słysząc grającego harmonistę. Przechyla się w rytm granego tańca to w jedną, to w drugą stronę, przyciskając nogami pedały. Przytupom nie ma końca. Zdaje się, że wnet podłogę rozniosą one na wiele strzępów. Pary wirują w oberku i polce, ale nie brakuje też walca i bardziej nowoczesnych tańców. Czasem trzymając się za ręce tworzą na parkiecie wspólne koło. Za chwilę rozwija się ono w węża snującego się między ławkami. Podochoceni tańcami i alkoholem, sprzątają wszystko z drogi. Ławki i krzesła lądują na stołach, by więcej było miejsca na okręcanie się. Tańce przerywają posiadami na rozmowy i jedzenie.

Starsza młodzież bawi się oddzielnie. W innym domu. Im przygrywa muzyka puszczana z adaptera.

Jadąc na zabawę, by skrócić sobie drogę i dodać czasu, przejeżdżają saniami przez zamrożone jezioro. Konie wzdrygnęły się nieco wchodząc na zaśnieżoną taflę lodu, ale w końcu zawierzyły swojemu woźnicy i prują do przodu, by prędzej znaleźć się pod dachem gościnnej stodoły. Tu i ówdzie na otaczającej zewsząd świat bieli widać snujące się z kominów domów pasma szarego dymu. Rozgwieżdżone niebo zdaje się być nieco wyżej niż za dnia. Od lasu jakby słysząc było zawrodoenie wilka, ale tę straszną myśl prędko odpędzają od siebie. W końcu wszystko w domu zabezpieczyli i psa pozostawili na ten czas w sieni, by nie padł ofiarą wilków.

Nad ranem mimo ogólnego wesela, syci i radośni, wytańczeni na dłuższy czas, wracają z ulgą tą samą śnieżną drogą do swojego domu. Nie wszystkie jeszcze ciepło opuściło ich izby ogrzane kaflowymi piecami. I to na tę chwilę jest najważniejsze.

Święta tuż za progiem

Śnieg, który nieśmiało przyodziwał ziemię na początku grudnia, oswoił się ze swoją rolą na dobre. Pada bez przerwy. Coraz większe tworzą się zasy i zawiewa ze wszech stron. W domu pod topolą myśli się coraz częściej o świętach Bożego Narodzenia. Stryj Stanisław, jak przypada na Adwent, wieczorem ze swojego kuferka wyciąga oprawną w skórę starą kantyczkę i śpiewa półgłosem pieśni adwentowe. Czasem wtóruje mu ciotka Marianna, chociaż jej Pan Bóg nie obdarzył tak pięknym głosem jak jego, ale za to dużymi chęciami i owszem. W duecie ze stryjem da się to przesłuchać. W końcu modlitwa w wiejskim domu to nie koncert publiczny i ma do niej każdy prawo, kto czuje powołanie chwalenia Najświętszej Panienki noszącej w swoim łonie Dzieciątko. Na przyjście, którego oczekuje cały świat włącznie z domem pod topolą i jego sąsiadami. Przyjmujemy z lekkim uśmiechem jej śpiewy i nie zważając na to, że przed chwilą przeleciał po naszych twarzach grymas, przyłączamy się coraz głośniej do nich. Wtórują nam swym mruczeniem koty wylegujące się na ławie przy piecu. W końcu to Adwent! Na Boże Narodzenie czeka wszystko włącznie z drzewami, które swoje soki chowają w głębię i pokornie dają się okryć śnieżnym płaszczem. Ojciec zabezpieczył już je słomą i powrozami, by nie zraniła ich ta śnieżność, by nie zmarzły i na wiosnę pokryły się ponownie białoróżowym kwieciami. Czekają na nie pszczoły śpiące w ulach, regularnie dokarmiane przez ojca. Jak niesie stara wieść, ockną się na chwilę w Wigilię, by przywitać na świecie prawdziwego swego Pana. Ojciec wie, że tutaj jest tylko ich tymczasowym opiekunem. Już od grudnia zanoszą w swoich pacierzach prośbę do nieba o szczęśliwe przetrwanie rojom pszczelim trudnej zimy. I wszelkie bydło, i konie czekają na ten czas, w którym gospodarz potraktuje je na równi z domownikami, dzieląc się z nimi opłatkiem i okruszynami jadła z wigilijnego stołu. I wszystko inne czeka na czele z psem Filonem i licznymi kotami. Grudzień w domu pod topolą jest czasem oczekiwania.

Wszystko, co jest potrzebne do przygotowania świąt, zostało już zakupione przez matkę na ostatnim tegorocznym jarmarku przypadającym na św. Marcina. Różne proszki, kisielki, zapachy, budynie,

cukry, kakao, rodzynki, tak, by nic nie zabrakło, kiedy zaczną piec świąteczne ciastka i ciasta. Nie zapomniła też o różnych błyszczących papierach do pakowania prezentów i wycinankach, które przydadzą się przy przygotowywaniu choinkowych ozdób podczas długich wieczorów adwentowych. Pamiętała też o proszku i farbce do prania. Przecież czekać ją będzie olbrzymie pranie przed świętami. Również pamiętała o farbie do wapna. Na tydzień przed Wigilią, tuż po wielkim praniu, jak każdego roku na nowo wybieli kuchnię, by również dom czuł się wyróżniony na ten święty czas.

Przybiegając ze szkoły zaśnięzonymi drogami i drózkami, odrabiamy szybko lekcje i zasiadamy do szykowania choinkowych zabawek. Zacerwienione uszy i policzki na ślizgawkach, które trudno nam było ominąć po drodze, przy nagrzanym piecu powracają do swoich pierwotnych barw. Wykonywanie zabawek szczególnie raduje mojego brata, mającego ku temu sporo uzdolnień. Ja jedynie mu pomagam coś potrzymać lub obciąć. Część ozdób mama kupiła na jarmarku. Są to błyszczące bombki z wklęsnięciami po bokach lub w kształcie orzechów, koniecznie we trzy połączone, nowa gwiazda i czub na choinkę, twarzyczki pucułowatych aniołków, karbowane jabłka i gruszki oraz napuszone kolorowe ptaszki. Inne, w tym łańcuchy, robimy sami ze słomy i kolorowych wycinanek. Wiemy, że ojciec zakupił torbę czekoladowych, w błyszczących papierkach, cukierków, które mama ukryła wysoko w bieliźniarce. To zawsze było i jest jego obowiązkiem. Chociaż wiemy, gdzie są schowane, nie podbieramy ich zazwyczaj. Cieszyć nas będą wisząc na choince. Do tych cukierków zostaną dołączone długie barwne sopolki, o których zakupie pamiętała ciotka podczas sprzedaży jajek w naszej wiejskiej spółdzielni. Ojciec wieczorami sortuje i przebiera na targ jabłka w piwnicy i przy tej okazji wybiera najpiękniejsze malinówki na wigilijny stół i małe, z różowymi boczkami, papinki, które zawisną obok cukierków, bombek i ocukrowanych ciasteczek.

Śniegu przybywa coraz więcej. Ojciec ze stryjem wykopać musieli tunele z domu do studni, obory ze stajnią, chlewów i stodoły. Psia buda opatrzona została suto słomą i wybieg odkopany jak należy. Okna domu pod topolą mróz zdobi firankami, a za sprawą odwilży, która gościła prze kilka dni, dachy wszystkich zabudowań przybrały

się w różnej długości i grubości sople. Sikorki i inna dzika ptaszyna obsiada wywieszone słoninki za oknem. A przy chocholich drzewach w sadzie coraz więcej widać zajęczych śladów.

Nie zważając na przepastny śnieg kolega ojca, sąsiad Rułkowski spod Kamionki, któregoś wieczoru przyniósł nam w prezencie wiklinowy kosz włoskich orzechów. Przyjechał również saniami pan organista z Bargłowa Kościelnego z opłatkami. To jedni z najmilszych naszych grudniowych gości. Zwiastujący czas świąt.

Na kilka dni przed świętami mama zarządziła pieczenie ciasteczek. Ileż przy nich roboty? W obielonej na świeżo kuchni na biało zašlała stół i piec chlebowy rozpałała do gorąca. Kilkakrotnie przesiała mąkę na przetaku, zagniotła ciasto i teraz rozwałkowuje je na cieniutkie placki. Wycinamy w nich zrobionymi z blachy foremkami przeróżne ciasteczka. Są pośród nich księżyce, serduszka i pierniczki. Kółeczka zaś wyciskamy odwróconą szklanką. Zarumienione obsypujemy kryształkami cukru i odkładamy do dużej miednicy. Zapach ich roznosi się po całym domu. Pierwsze posiadają dziurki. One to już za trzy dni, nawleczone na barwne nitki, zawisną na choince. Będzie czym poczęstować przyszłych kolędników, którzy zawitają do nas z gwiazdą w dzień Bożego Narodzenia. Jutro mama upiecze ciasta, a ciotka przygotowuje śledzie na Wigilię. Moczy się już groch i pęczak oraz owies na kisiel. Za chwilę, któraś z nich zabierze się do ucierania maku.

Śnieg pada bez przerwy. Nasza stara topola niczym wielki śnieżny anioł czuwa nad domem. Jeszcze tylko trzy wieczory adwentowe przed nami, jeszcze kilka pieśni zostało stryjowi do odśpiewania i będziemy oczekiwać pierwszej gwiazdki nad topolą.

– *Mamo, mamo, już jest, jaka złota!* Pędzimy krzycząc jedno przez drugie. Piesek Filon poszczekuje na nią serdecznie, a my zasiadamy do wigilijnego stołu zasłanego obrusem bielszym od śniegu.

Wigilia w domu pod topolą

Śnieg spowił świeżą bielą cały dookolny świat. Ogromna topola obok domu stała nieco zdaje się przygarbiona. Szarobrązowy jej pień jakby pochylił się nad czymś w zadumie. Z wysoko wzniesionych ośnieżonych gałęzi gdzieś pod białego puchu wзираły jasnozielone listki jemioły. Dom również tonął w śniegu i wszystkie inne zabudowania. Droga do sąsiadów ledwie przetarta płozami sań zlewała się z ośnieżonymi sadami i polami. Na płocie pod topolą od wczesnego ranka wietrzyły się palta i burki przed jutrzejszą wyprawą do odległego o kilkanaście kilometrów od domu kościoła. Czas zdawał się być nadzwyczaj uroczysty. Świat oczekiwał niezwykłego wydarzenia, jakim było narodzenie Dzieciątka Jezus. Przeczuliwali to konie rżąc tęsknie w stajni, krowy pomrukując w oborze i Reksio rozmarzenie spoglądając na niebo ze swojej budy.

W domu pachniało wanilią i żywicą. Ojciec wniósł do pokoju ogromną choinkę, wysoką pod sufit, osadzoną w stojaku. Ubieranie jej zajęło dwójce dzieci niemalże pół dnia. Z najwyższej półki bieliźniarki wyciągały pudła z bombkami, kolorowymi łańcuchami, zabawkami z karbowanej bibułki, anielskim włosiem, lichtarzykami do choinkowych świeczek i srebrną gwiazdą betlejemską. Na końcu zawiesili cukierki w błyszczących papierkach, dzień wcześniej upieczone ciasteczka skrzące się w odrobinach cukru i czerwone jabłuszka papinki, których pełen kosz przyniósł im ojciec z podwórkowej piwnicy. W rozgrzanym domowym powietrzu rumieniły się niczym lica panienek.

W tym czasie mama z ciocią szykowały się do wigilijnej wieczery. Tarciom, tłuczeniom i wałkowaniu zdaje się nie było końca. Zapachy mieszały się ze sobą i rozchodziły się po całym domu. Długo by o tym pisać. Wszystko wnet zostało już przygotowane włącznie z utartym w makutrze makiem. Domownicy przebrani w świąteczne stroje czekali na moment rozpoczęcia uroczystego posiłku. Chociaż w miarę chylenia się dnia ku wieczorowi mróz tężał i koty już rozkładały się wokół pieców, dzieci nie zważając na zimno, wybiegały co chwilę na podwórko, wyglądając pierwszej gwiazdki. Wtem jedno

przed drugim biegło czym prędzej do domu głośno wołając: *jest, już jest gwiazda na niebie.*

Po środku kuchni stał nakryty śnieżnobiałym ozdobnym obrusem stół. Pod nim cicho szeleściło, przyniesione przed wieczorem przez stryja ze stodoły, pachnące siano. Po środku stołu, na najładniejszym wybranym z domowej zastawy talerzyku, leżały opłatki. Stół otoczyła wnet, stając u oparc krzeseł, gromadka ludzi, stary kawaler stryj, ojciec, matka, ciotka, która wciąż była jeszcze panną i dójka dzieci. Jedno puste krzesło czekało na przybysza. Chwilę oczekiwano w milczeniu na samotnie mieszkającego o kilka domów dalej sąsiada Bronisława. Przyszedł wreszcie oczekiwany gość, brat zapalił świeczki na stojącej w alkierzu choince i stryj Stanisław będąc najstarszym w rodzinie rozpoczął ceremoniał wigilijny. Przeżegnał leżące na talerzyku opłatki, po czym wziął jednego z nich do ręki i odmówiwszy modlitwę przełamywał się nim z wszystkimi zebranymi przy stole. Za chwilę podchodzono do siebie, przełamywano się wzajemnie pozostałymi opłatkami, przepaszano się nawzajem i życzo no wszelkiego dobra, i spotkania się w takim samym gronie za rok.

Wieczere rozpoczynano od chleba i śledzi. Później mama na przemian z ciocią donosiły kolejne potrawy. Smażone ryby, gorące kartofle, kasze, ryż, kluski makowe i ziemniaczane, wszystkie okraszane słodzonym makiem. Nie brakło też grochu z kapustą i dwóch rodzajów kisielu, w tym gotowanego z owsa, którego bardzo nie lubiły dzieci. W małej salaterce leżały maślaki i inne grzyby z pływającą w ich sosie cebulką i ziarnkami pieprzu. Spożywając potrawy popijano je kompotem z suszonych jabłek, gruszek i śliwek. Na koniec częstowano się przekładanymi na różny sposób waflami i jabłkami malinówkami. Rozbijano włoskie orzechy przyniesione kilka dni wcześniej przez kolegę ojca z drugiego końca wsi. Rozmawiano przy tym serdecznie, wspominano dawne czasy i zastanawiano się nad przyszłym rokiem. Stryj intonował kolędy. W piecach trzaskały szczapy drewna, na okiennych szybach cicho grał zimny wiatr. Ojciec z resztką potraw i kolorowym opłatkami szedł podzielić się nimi z kóźmi, byłdem i Reksiem.

Tę sielską atmosferę przerywało nagłe pukanie do drzwi. Do kuchni wchodził św. Mikołaj z workiem prezentów na plecach i różgami

w ręku. Zadowolone, chociaż trochę przestraszone dzieci starały się nie mylić przy mówieniu pacierza, o który pytał przybysz.

Z gościńca coraz wyraźniej nawoływały dzwonki u sań, że czas już jechać na pasterkę. Najszczęśliwszy z wieczorów powoli przechodził w najświętszą w roku noc. Topola przejmowała śpiew kolęd od uśpio- nych ludzi. Wtórowały jej ośnieżone sady i pola. Wszystko poczęło świątować Boże Narodzenie.

Bogdan Dudko

zgaś komputer tak po prostu
a chciałem ci jeszcze napisać
że wszystko zarasta lasem
była puszcza
i puszcza tu wraca
nie będę zapisywał ściany
wisi na niej portret Sokrata
z papierosem w ustach
jakby to był karabin
więc może pozwolisz mi
zapisać swoje plecy
tropami tej zwierząt i roślin stolicy
potem będę je czytał
długo
aż przeczytam całą puszcę
i okolice

* * *

cholernie lubię podróże
zwłaszcza te nad ranem
kiedy ruszam
z miejscowości powiedzmy Narew
wszystko zamglone
rynek drzewa ludzie myśli
cholernie lubię te ranki na przystankach
i nie mam w dupie małych miasteczek
w dupie mam duże miasta
autostrady lotniska markety

* * *

burza idzie
za nią jej dzieci
opadają na łękę
a z nimi
szaro ciemni żurawie
już stoją pod bramami Świsłoczy
jak kiedyś stały pod Spartą

* * *

„Nie tłumacz mi ptaków ni roślin,
Ja z nich poczęty – rozumiem,
Tylko się krzywdy nauczyć
I ludzi się uczyć nie umiem”
K.K. Baczyński „Psalm IV”

moje marzenia są jak ocean
(spokojny)
spokojnie po nich płynę
spokojnie kochanie
choć ogromnie
moje marzenia są jak sójka
która właśnie usiadła na drodze
za oknem
szukając ziarna
(ziarna są w nas)
spójrz sójki dziecięcy wróble wiewiórki
wszystkie są w nas

* * *

Białowieża Hajnówka Narew
Bielsk Czeremcha Pawły
wszędzie ten sam nieprzemijający
zapierający dech w piersiach
zaśpiew
wszędzie to samo pytanie
dlaczego tu jestem
mówisz kup miły choć raz bilet na Szczecin
chodzę po borach i barach
zaglądam tu i tam
rozglądam się
gdzie usiadła moja oblubienica
ojczyzna
choć niewiele
jedno wiem
nie jadę na żaden Szczecin
kochanie już tu zostanę
na wieki

Pewnego razu szliśmy mglistym porankiem. „Niewiasta trucił kamieniem/ kamień dostał skrzydeł” – zaczęłam nie dawno, ani-
tę postać.

– Pożyjemy, zobaczymy. Dziś nie powiem, jak daleko poszła i gdzie
padnie. Czy ktoś nie oberwie po drodze. Kamienie mają głos. Przez
tę piaski i czarnoziem ku światłu podążają. A później... A później
zastęgi albo zbrodnia. Mury świątyni albo więzień, drogi spokojne
albo drogi donikąd.

Na stole przykrytym białym obrusem leżała duża kartka białego
papieru z napisem: Niewiasta.

– Białe wierz – powiedział – jak biały chleb.

– Proszę, przełammy się nim – zwrócił się do mnie.

W taki sposób mi się oświadczył. Było to kilka dni po tej rozmów-
wie o kamieniu. Wówczas mi mówił, że wszystko może się znaleźć
w jednym wyrazie, a nawet w jednej sylbie. Kiedy przytakowałam, co

* * *

spokojnie kochanie
nie bój się
nie nalecą na ciebie
żadne kruki ani wrony ani nic
spokojnie
zamknij oczy i śpij
niech przyśni ci się że
wszędzie wokół są tylko
tory pełne poziomek
po których ty
swoje drobne stopy
z rana dotykasz
jak mgły
jak gdyby to były mgły

Julian Dworakowski

Cud życia

Prawie codziennie mijaliśmy pikiety, transparenty na parkanach i murach strajkujących zakładów pracy. Dwa czy trzy razy natknęliśmy się na demonstracje, ale pozostawiliśmy je na boku ze względu na nasze bezpieczeństwo. O półkach w sklepach ani o portfelach pełnych pieniędzy nie wspominam, no bo temat stary, co prawda nadal chodliwy, ale z wyraźną zadyszka, więc nie wypada go już męczyć, a słów też szkoda, niech się one przynajmniej czują na siłach. Teraz wydaje się to śmieszne, ale wówczas najwięcej dostatku było w „nocnych rozmowach Polaków”. Radością, nadzieją, optymizmem jak opłatkiem wigilijnym obdzielasz ludzi. „Prawdy, sprawiedliwości, uczciwości” krzyczano dookoła, więc chcąc nie chcąc jedni po drugich zaczęli się rozglądać. Wszyscy zaczęliśmy wytyczać nową, przestrzenną drogę, a chłód wiosennych poranków ma się unieść niebawem ciepłym dniom i ta pogoda przeleje się do wnętrza każdego z nas. Już jedni drugim mają być ciepli. Zbliżały się nowe dni, miesiące, lata, co później nazwano „transformacją ustrojową”.

Pewnego razu szliśmy mglistym porankiem. „Nienawistnik rzucił kamieniem/ kamień dostał skrzydeł” – zacytowałam niedawno zmarłą poetkę.

– Pożyjemy, zobaczymy. Dziś nie powiem, jak daleko polecą i gdzie upadnie. Czy ktoś nie oberwie po drodze. Kamienie mają głos. Przez ły, piaski i czarnoziem ku światłu podążają. A później... A później zasługi albo zbrodnie. Mury świątyń albo więzień, drogi spokojne albo drogi donikąd.

Na stole przykrytym białym obrusem leżała duża kartka białego papieru z napisem: NiewiasTA.

– Białe wiersz – powiedział – jak biały chleb.

– Proszę, przełammy się nim – zwrócił się do mnie.

W taki sposób mi się oświadczył. Było to kilka dni po tej rozmowie o kamieniu. Wówczas mi mówił, że wszystko może się zmieścić w jednym wyrazie, a nawet w jednej sylabie. Kiedy przytaknęłam, co

było równoznaczne z przyjęciem oświadczyń, on czy nie dowierzał jeszcze temu, czy o przyszłości mówił:

– Czyż nie ma znaku równości między ziemią a niewiastą? Drzewo z owocami, kłos wyrosły z ziarna i dziecko z wyciągniętymi rączkami mają podobieństwa. Rośliny ku światłu się kierują, a czy matka nie jest dodatkowym źródłem światła dla dziecka? Wszystko w świetle i w wodzie się uszlachetnia. Wystarczy spojrzeć na uschnięte drzewo, by stwierdzić, że nie korona a życie jest władzą.

A ten kamień, o którym wspominałaś, toż z głębi ziemi podążał ku światłu. A gdzie jest jego życie?

O ludziach, ziemi, życiu czy też kamieniach rozmawialiśmy z ludźmi wiele razy po katastrofie w kopalni w Chile i jej następstwach.

Ci ludzie uwięzieni w głębi ziemi przypominali kamienie tuż pod jej powierzchnią, a podążające ku światłu. Krzyk o życie stał się tym podążaniem ku światłu. Kapsuła, którą ich wywożono na powierzchnię, przypominała łono. Czyż życie ludzkie nie ma swej głębi? Ciągłość życia stała się nie tylko faktem, ale wyraziła się tą głębią.

Jaka jest różnica między uzdrowieniem niewytłumaczalnym z medycznego punktu widzenia, wskrzeszeniem Łazarza czy też darowanym życiem w szczególnych okolicznościach?

Cudem nazwą doświadczeni tym niezwykłym darem.

Cudem życia.

Cudu można doświadczyć.

Cud przychodzi do człowieka.

Ale czy można dojść do cudu?

Czy człowiek może...?

Święta Wielkanocne przeżywaliśmy na wsi. Mąż siedział w miejscu, w którym kiedyś, przed ostatnią zmianą systemu grzewczego był piec chlebowy. Obok stała biblioteczka, a w niej sporo książek, Piśmo Święte, modlitewnik i sporo gazet sportowych sprzed trzydziestu i czterdziestu lat, kiedy była „piłka okrągła”.

Było to jego ulubione miejsce. Tam uczył się, czytał książki i gazety.

– Chleb, nauka, kultura; widzisz, jak się składa - zagadnęłam go czasem.

– Bóg jest w Trzech Osobach, a człowiek? – spytał. Wierzy czy nie wierzy, niech tak pozostanie. Dokąd ucieknie przed światem współczesnym – pomyślałam.

W Wielki Piątek po południu wichura wzięła we władztwo sypiące się obficie wielkie płaty śniegu.

– Koniec świata – powiedziałam.

– Iść czy nie iść – zastanawialiśmy się parokrotnie.

– „Ideal światła bruku” – usłyszałam głos małżonka i znane słowa.

– A co tam? – na wszelki wypadek spytałam, nie wiedząc o co mu chodzi.

– Norwida czytam – powiedział.

Zdecydowaliśmy się pójść i być silniejszymi od niepogody. Co tam ma nas wystraszyć? Na przełaj to polami, to ścieżkami, to dróżkami podążaliśmy.

– Ciężko – stęknęłam kilka razy.

– Niebezpiecznie – głośno zaczęłam się obawiać, by się nie potknąć, nie upaść.

– Do Kościoła najtrudniej w prostej linii – krzyknął mi do ucha w tej zawierusze.

Wiedziałam, że z wielkiej litery mówi o Kościele, bo szlachetne posługiwanie się językiem łączy odległe czasy z bliskimi i często upodabnia to, co do siebie niepodobne. Doszliśmy do celu, a zmęczenie ustąpiło miejsca uldze.

Ze względu na niepogodę rozważanie stacji Drogi Krzyżowej odbywało się wewnątrz świątyni. Podczas uroczystości dużo było odniesień do współczesnych stacji dróg życiowych doświadczanych przez ludzi.

Czyż między Jezusem a szczerze zbliżającymi się do Niego nie ma podobieństw...? „Nie zdejmę krzyża”, „W krzyżu cierpienie...”, „Chrystusie” i fragmenty innych pieśni były uzupełnieniem rozważań Męki Pańskiej i życiowych dróg ludzi.

Grób Pański był umiejscowiony w kaplicy św. Józefa. Ta kaplica została ufundowana przez jednego z proboszczów jako wotum za przeżycie w obozie koncentracyjnym. To była jego droga życiowa przebyta razem z późniejszym biskupem Kazimierzem Majdańskim i takie też były drogi tutejszych parafian liczonych w dziesiątkach jak różańce.

Nad grobem postacie wówczas jeszcze błogosławionych: Jana Pawła II, ks. Jerzego Popiełuszki i Karoliny Kózkówny, a ponad nimi napis: „Oni już zmartwychwstali”. Poniżej tych postaci zachęta: „Ty też możesz”, a w Grobie Pańskim - lustro. Tuż przed grobem ostatnia stacja Drogi Krzyżowej: Złożenie Jezusa do grobu, a pod nią konfesonął. To tu jest to lustro. To tu jest to zmartwychwstanie. Tu jest cud – cud życia. Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Dobrze pamiętam wydeptaną dróżkę do wiekowego budynku plebanii. Staruszek, takim był ówczesny proboszcz, wydając mi niezbędne zaświadczenie do ślubu zagadnął: „Jak zostać świętym?” Wymieniłem ścieżki najważniejsze: pacierz, msze święte, komunie święta. Uśmiechnął się, pokiwał głową. „Czy to wystarczy? Można parę razy machnąć nieporadnie ręką, porozglądać się, czy patrzą inni, wysztynić się” – mówił ze spokojem. Zmieszałam się, pokraśniałam, wstyd wyręczył mnie swoją wymową. Poczęstował mnie miętowymi cukierkami.

– Na orzeźwienie to. Szanowna pani nie pal trucizny. Szkoda zdrowia swojego i innych – lekko zalecił.

– Kto przestrzega dziesięciu przykazań przykazań boskich, ten jest świętym – tymi słowami mnie pożegnał.

Wracałam drogą, ścieżka stała się mi drogą. Opowiedziałam to wszystko narzeczonemu.

– Kamienie mówią – rzekł.

Kamienie mają skrzydła.

Dwie tablice kamienne są krzyżem. Kamienie pytają?

Czyż nie podcina się ramion krzyża. Czyż się nie podcina tych, kto w tym znaku ma skrzydła.

Czym były nasze rozmowy? Rozwiniętym błękitnym sztandarem pokoju naszego wnętrza przekazywanego innym jako znak pokoju. Ten znak wskazuje drogę do innych wnętrz a one z kolei – dalej aż po krańce ziemi.

I wówczas staje się on pokojem pomiędzy ludźmi – cudem życia.

A małe dziecko?

Namaluje błękitny sztandar. Będzie z nim jak starożytny filozof szukać ludzi. Kto w nie rzuci kamieniem, będzie świadczył przeciw cudowi życia.

Gudel Krystyna

KOBIETA Z ZAPASKĄ

Pomiędzy łąnem a łąnem wzorzysta wstęga.

Kobieta w płóciennnej zapasce chyli czoła.

Spośród traw i polnych kwiatów wybiera zioła.

Tegoroczna obfitość do pasa jej sięga.

Na między radość, podlaskiej przyrody piękno.

W zapasce pełno ziela, ledwie unieść zdoła.

Z oddali przepiórka swoje dzieci woła.

Na horyzoncie słońce do modlitwy klęka.

Za chwilę na werandzie z płóciennnej zapaski

wylęgną się zapachy jak wytrawne wino.

Napary i susze, mikstury z Bożej Łaski.

Niech będą dzięki Najwyższemu. Modły płyną.

Postać mojej babci wylupuję ze wspomnień.

Czy to tylko zapaska, czy ona koło mnie?

NOCĄ

Spacer w gwiazdach odwieczną tajemnicą. Oczy
uwikłane w niewidoczność zauroczeniem
nasączone. Mową zawładnęło milczenie.
Księżyc zabawia jak lew salonowy. Kroczy

za dniem, co s płaca dług pod kuratelą nocy.
Oswojona przytula nierozpoznawaniem,
namaszcza światłem gwiazd spadających, zanim
wyblakłą ciemność mgielna zasłona otoczy.

Nie dajmy dłoniom rozwiązania, ciałom chłodu,
pragnieniom ulotności. Wdzięczność nasza spłynie
na granicy ostatnich strun nocy i wschodu.

Ciche łyzy nieboskłonu- świadkowie niewinni.
Ostatnią garść chwyćmy z pucharu nasycenia,
ze źródła życia, z zachwyty, z niedokończenia.

Kamienie mówią - rzekł.

Kamienie mają skrzydła.

Dwie tablice kamienne są krzyżem. Kamienie pytają:

Czyż nie podcina się ramion krzyża. Czyż nie podcina się
tego w tym znaku ma skrzydła.

Czyż były nasze rozprawy? Rozwiniętym błękitnym sztandarem
dławił naszaro wnętrza przekazywano innym jako znak pokoju
ten znak wskazywał drogę do łunnych wnętrza a one z kolei - dalej aż
brzozy grom.

I wówczas stał się on pokojem pomiędzy ludźmi - cudem życia
A umiarkował?

Namieć błękitny sztandar. Będzie w nim jak starym filozof
znak. Bo w nie razi kamieniem, będzie świadkiem przezeń
człowiek żył.

DZIESIĘCIU ICH BYŁO

Pamięci zamordowanych w Tolłkaczewie

Wśród rozpadlin, wykrotów, na resztkach polany
echo wystrzałów z wiatrem budzi się o świcie.
W śnie odebrano umęczonym ciałom życie.
Pamięć łyzy roni. Nie chcą zabiżniać się rany.

Od krwi ciągle grząsko, z żył podskórnych wypływa.
Dziesięciu ich było, walecznych, utrudzonych.
Nie zdążyli. Nie dotarli w rodzinne strony.
Lichy los. W obcej ziemi stos ciał dogorywa.

Dwa funty cukru i oficerki za życie
wielu. Głębia uroczyska ich przygarnęła.
Sumienie zdrajcy rozpacza czasem w ukryciu.

Choć ślady zbrodni ziemia już prawie zakryła,
to brzemień zdrady, kłami uczone losu,
pastwi się nad każdą chwilą do jego kresu.

POGRZEB MATKI

Pamięci Marianny Popiełuszko

Wiar się zaplątał w sztandarów szpaler mnogością
oczarowany. Na ten czas proporce jasność
olśniła. Chmury nieme. Nie wiadomo radość
to czy smutek na Ziemi Podlaskiej zagościł.

Matka przeczytała księgę życia do końca.
Zamknięte wieko, droga kwiatami usłana.
Podąża na spotkanie przed oblicze syna
do krainy szczęśliwości, wiecznego słońca.

Czy wyjdzie na powitanie? Czy sama będzie
musiała odnaleźć szlak? To trudne pytanie,
wszak jasność alabastrowa i błękit wszędzie.

Życiem doświadczona ulgę czuje. Spotkanie
ukoi. Po ziemskich trudach czas odpoczynku.
Już cię widzę, już jestem przy tobie, mój synu.

TAJEMNICA KRADZIONEGO CZASU

Wymykała się przed pierwszym oddechem brzasku.
Wtulona w alabastrowych mgieł tajemnice
nizała rosę, gdy wzeszło jasne oblicze
dnia. Uwalniała muchy z nocnego potrzasku.

Nie straszne jej łązy niebios i kołtuńskie wiatry.
Mówią, że ona się brata z dziką zwierzyną,
że dziury ceruje najcieńszą pajęczyną
i wdziewa przez chmury podarowane szaty.

W przydrożnych rosochach ptakom dziuple mościła,
bezszelestnie, lekkim ruchem niczym w tańcu płas.
Z jej ręki niejedna turkawka wodę piła.

Nazywana zdziwaczalą, nawiedzona wciąż
chwytą czas na salonach jesiennego lasu.
W jej strofach tajemnica kradzionego czasu.

EPITAFIUM DLA DWORU W GRODZISKU

Rozgryzany zębem czasu trwa uczepony
resztek nadziei. Samotny pośród obecnych.
Kiedyś słuchał z ochotą historii przedwiecznych,
lecz zamilkły. Nagle zachodem rozjaśniony

ożył. Wnet wodzirej rozpoczyna wielki bal.
Tańczą damy w czerwieni, młódki ślą uśmiechy.
Służba w podskokach, pełno gwaru i uciechy.
Tylko włodarz zapatrzonej w szarzejącą dal.

Wkrótce jasność omdlewa, gasną lampiony dnia.
Wyziera kobaltowy odcień samotności.
Mur tylko w nadmiarze sieni nadpalonej ma

ślady zatargów z czasem. Bezbronną roślinność
przygarnęło wnętrze. Owocuje kalina,
czarny bez. Czas obecny historię przeklina.

NAD POTOKIEM

Świt kąpie się w przezroczystej toni potoku.
W satynowej pościeli Niebylecka Ziemia.
Dolina jeszcze śni, natura prawie niema.
Tylko Jan Nepomucen uśmiecha się z boku.

Pagórkowate płachty błyszczą w słońca oku.
Konieczkowa, Małówka, Baryczka, Połomia,
pamiętająca Juliana Gwoźnica Dolna.
Rozsiadły się, urokliwe, nie czyniąc tłoku.

Potok dumny, czasem nieco rozkapryszony,
lecz jak wodzirej doliny od wieków strzeże.
Święci z kapliczek mają w opiece te strony.

Ojciec rzuca ziarno, matka mówi pacierze.
Tutaj pradziadowie znali siebie od dziecka.
Ile miłości jest w tobie, Ziemi Niebylecka?

OBIETNICA

Pamięci dziadka Piotra

Sad się zarumienił, jakby ze wstydu. Barwy
coraz mniej, tylko słodycz rozdaje na zapas.
Może zatrzyma letnie refleksy i zapach.
Kusi tajemnicą jak bursztynowe skarby.

Pod tamtą gruszą dziadek przystawał w skupieniu.
Wędrował wtedy poza progi horyzontu,
w nieodgadnioną dal. Strzały na linii frontu
nie cichną. Sylwetka syna na rozwidleniu

dróg. Odchodzi, czy już wraca? Oczekiwanie
przybiera odcień sadu. Nadziei coraz mniej.
Rodzi się każdej wiosny. Grusza ich rozstania

świadkiem była. Obiecywał, że wróci. Kora z jej
pnia odpada. Niepokoi. Czy wyda owoc?
Czy już na zawsze nad gruszą rozgości się noc?

Izabela Iwańczuk

Ja ważka słów

tworzę miłość
ten wers osiada na jaźni
kobieta ma mężczyznę i odwrotnie
tak już będzie
nawet jeśli będziemy w błędzie
ponad wszelkim dźwiękiem
bez końca bez początku
drzewo miłości owocujące
dobrem i złem

Tęsknota jest kobietą z twoich podróży

widzę jak biegnie
nieprzytomna
nie zna granic
zna mnie dlatego
krzątając się i nucąc
powtarzam świat
bo ze mną
jesteś który jesteś

dróg. Odchodzi, czy już wraca? Oczekiwanie
przybiera odień słońca. Nadziei coraz mniej.
Rodzi się każdej wiosny. Grusza tu rozstania

świadczeń była. Obiecywał, że wróci. Kora z jej
gnia odpada. Niepokoi. Czy wyda owoc?
Czy już na zawsze nad gruszą rozgości się noc?

Kobieta Anioł

otwierasz skrzydło
wyjmujesz pióro
piszesz - anioł

drugim skrzydłem
obejmujesz ją

Kochany

ze skrzydeł ciebie
nigdy nie rozbiore

wplatam ci włosy
w płomienie dłoni
jak warkocze komet

lotka zapachu jest
słońcem na fotografii
jaśminem sutki napina

budzi grzechotnika więc
jak kubańskie cygaro
podaję ci ogień do ust

Kobieta

podnoszę skrzydło

pod moją opieką
drży fioletowy storczyk

opuszczam skrzydła wiersza
trzepoczę myślami

azyl nieba w twoich oczach

Pomoc

pójdę w tamten krzyk
 zaniosę chleb i wodę
 wygwizdę wojny cierpki smak
 napiszę wiersze jej dzieciom
 oddam palec na relikwię
 zasieję trawę pełną nadziei
 zatrzymam wiatr od zachodu

...
 Bogu zostanie przepierka dusz
 wręczenie korony lub widel

Do współczesnego

oczy masz jak brzegi samotne
 dłonie ogrzewasz o plastikowe kubki
 usta nadymasz jak balon
 nogi na stół zadzierasza
 głowa żali się na myśli
 plecy chronisz podwójną skórą

serce radzi dlaczego nie słyszysz

tylko ciężkie krople spadają na włosy.

Czas uciekać, bo zaraz
 pędzą w wiatr utkane
 liście tak jak listy
 smutkiem podpisane.
 Ktoś konie wypłoszył z pobliskiej zagrody,
 rozdrażniony pies szczeka,
 jakby wiatr burzowy
 nagle mu przypomniał,
 niechciany zapach obcego człowieka.

Zrozumieć tę siłę z bagien huraganu
 i to, co czuje potargane zboże,
 polny zwierzę przestraszony,
 oberwany piak z drzewa,
 jego pióra włożyć, by potem
 dom stracić
 i moknąć
 i bać się, gdzie teraz się schowa,
 a po ulwrym deszczu
 budować od nowa.

Msza o zachodzie słońca

wino i krew
płomienne oddechy świec
narodziny wiary
nasze ciepłe umieranie
nie umiemy nic
tylko się rozpłakać

zapłacz głośno
na malinowych obłokach
może wzruszy się
Bóg naszej miłości
i łzami miłosierdzia
wydłuży tę noc

Roman J. Koper

Okulary

Dlaczego o to pytasz? Nie ma już tego domu. Nie zauważyłem, kiedy z całej posesji zostały zgliszcza. Rudera zarośnięta krzakami, okna zabite deskami. Czy to zabezpieczenie przed nieproszonymi lokatorami i ostateczną dewastacją? Kiedy z pięknego domu z ogrodem, pamiętającego ciężkie i burzliwe czasy XX wieku zniknęli mieszkańcy (i właściciele)? Mieszkała tam jakaś rodzina, ale mimo bliskiego sąsiedztwa nie udało mi się nawiązać z nimi znajomości. Parcela jest odgradzona od publicznej drogi i oddzielona od jezdni prostym, drewnianym płotem; za płotem krzewy. Były też psy, ale w obejściu, za ogrodzeniem. Stamtąd czasem słyszałem ujadanie psów, a innym razem krzyki ludzi. Ulica Szpitalna w połowie już pod nową zabudowę przestała istnieć; zniknęło wiele starych, parterowych domów. Z nieutwardzonej drogi bez chodników, łączącej ulicę Wołodyjowskiego, w pobliżu której były rosyjskie koszary, z dawną ulicą Garbarską, zmieniła się w pozostałej części w piękną ulicę z nowoczesną zabudową i jedną z dróg dojazdowych do Szpitala Uniwersyteckiego.

Jeśli naprawdę chcesz to wiedzieć, to na tej starej drodze przez wiele lat „przemierzałem kilometry”, bo mieszkam tu niedaleko. Pewnego razu (w końcu lat siedemdziesiątych) zaczęła mnie na tej ulicy starsza kobieta i pytała o drogę do dworca. Prawie z płaczem poprosiła mnie o sto złotych na bilet do Lublina, (jeśli dobrze pamiętam), bo chce wrócić do domu, do dzieci. Pocieszyłem ją i wspomogłem nie wdając się za wiele w jej osobiste życie. Za kilka dni usłyszałem lament tej samej kobiety dobiegający z podwórza tamtego domu. Zdziwiłem się, że ona tam mieszka. Często płakała i robiła wrażenie, że jest tam wbrew woli przetrzymywana; jak w areszcie domowym. Tak było wiele razy. Ktoś powiedział, że nieboga cierpi na demencję i ciągle chce uciec z tego domu. To nie przekonało mnie, ale współczułem jej. Sam niekiedy usiłuję o wielu rzeczach zapomnieć.

Była wiosna, a właściwie przedwiośnie. Śnieg i lód zniknęły, woda wyłobila bruzdy i wsiąkała w ziemię. Rozwinęły się bazie i pąki na

gałęziach drzew spulchniły się i pogrubiały. Jest materiał na wielkocne palmy. Po Niedzieli Palmowej czas jakby przyspiesza. Cała przyroda pragnie przejścia ze śmierci do życia. Pewnie dlatego, że Wielkanoc – Pascha, jako przejście ze śmierci do życia, ma wymiar kosmiczny. „(...) całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia. Lecz nie tylko ono, ale i my sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, i my również całą swoją istotą wzdychamy, oczekując <przybrania za synów> - odkupienia naszego ciała.” List do Rzymian 8, 22-23. Lubię, gdy rano jest widno; blask poranka działa bardzo inspirująco, a rześkie powietrze dodaje energii. Ferie, nie muszę iść do pracy. Miałem sen, z którego jeden obraz zapamiętałem wyraźnie: stałem na korytarzu przed lustrem i przyglądałem się sobie. W moich okularach z pociętą metalową ramką brakowało prawego szkła. Zdjąłem je, wyprostowałem ramkę i zastanawiałem się czy da się jeszcze wstawić brakujące szkło. Dobrze, że to tylko sen, bo nie mam innych okularów, pomyślałem i spokojnie wyszedłem z domu.

To był Wielki Piątek. Ogarnął mnie przeszywający chłód. Na jedynym istniejącym chodniku, przed blokiem, leżał jakiś mężczyzna. Upewniłem się, że żyje, ale nie był w stanie wstać, lub chodzić o własnych siłach – „pijany w dym”. Z trudem udało mi się go obudzić. Pomyślałem, że nie mogę go tak zostawić i postanowiłem odprowadzić go do jego domu. Wówczas nie było jeszcze na ulicach Białegostoku ludzi bezdomnych, przynajmniej ja o takich nie słyszałem. Holuję tego jegomościa jak worek piachu, a on co chwilę prosi żeby odpocząć, kto ma odpocząć on, czy ja?! Dał do zrozumienia, że mieszka na tej ulicy (Szpitalnej), ale nie chciał podać adresu, bo mnie nie znał i trochę się wstydził, a trochę obawiał tego, co wyniknie dalej. W połowie ulicy zapał się mocniej na własnych nogach i usiadł na ławeczce przy jakimś domu, żeby odpocząć (przed wielu domami były proste ławki: dwa paliki wbite w ziemię i na nich deska). Po chwili zamiast iść dalej dał do zrozumienia, że minęliśmy jego dom, poprosił, żeby go tu zostawić, i gdy będę wracał zawiadomić kompana, z którym pił. (Wymienił numer domu). Przyjdzie po niego i razem wrócą? Może i on tam mieszka?

Wracając przechodziłem koło wspomnianego domu, ale nie wszedłem na posesję; płot, furtka i zły pies zatrzymały mnie na ulicy.

Próbowałem przez krzaki za płotem zobaczyć numer domu i spoznać dziewczynę, którą chciałem poprosić o pomoc, ale ona z „wiskiem” uciekła. Nie wiem, dlaczego była tak bojaźliwa na własnym podwórku, czy miała jakieś przykre doświadczenia?! Z furią wybiegł z domu pijany mężczyzna, domyślałem się, że jej tata i wykazał więcej śmiałości niż ja. – Wyskoczył na ulicę. Niechciał słyszeć wyjaśnień, ani uznać, że mam prawo znajdować się na ulicy tak samo jak on. Na powitanie wymierzył mi szybki cios w twarz i zbił na policzku prawe szkło okularów. Moja żona słysząc hałas przybiegła z mieszkania do nas. Widocznie obserwowała całe to zajście przez okno. Na widok zbędnego świadka zdarzenia Pijany Obrońca Córki szybko wrócił na swoje podwórko, a ja z żoną wróciłem do domu.

W korytarzu spojrzałem w lustro, zobaczyłem na twarzy swoje okulary z pociętą ramką, bez prawego szkła, zdjąłem je i prostując metalową ramkę myślałem, czy da się wstawić nowe szkło. Dziwne, ale nie przeżywałem żadnego żalu, ani niepokoju. To zagadkowe „deja vu” nie było złudzeniem – wyraźnie przypominałem sobie sen i rozumiałem do czego się odnosił. Optyk w Zakładzie przy ul. Sienkiewicza wstawił mi brakujące szkło. Święta Wielkanocne przeżyłem z nowym „szlifem” i w lepszej atmosferze rodzinnej. Zrozumiałem że na moją żonę mogę liczyć jak na Pomoc Boską. Prawdopodobnie nie pamiętałbym o tamtej przygodzie, gdyby nie nowe fakty. Znow te okulary?! Tak.

Tym razem idąc ulicą Szpitalną wracałem w Niedzielę z Kościoła. Nie zauważyłem jak i kiedy zgubiłem prawe szkło moich okularów. Dziwne, widziałem dobrze bez niego i dopiero w domu przed lustrem zauważyłem jego brak. (To zdarzenie nagle odświeżyło mi pamięć. Nie musiałem zapamiętać faktów sprzed 35 lat!) Szkła nie znalazłem, ale przechodząc kilkakrotnie koło pamiętnego domu stwierdziłem, że tam już nikt nie mieszka. Zaniebany pustostan zmierza ku ostatecznej ruinie. Nie wiem, co się stało z domownikami. Szkoda mi tej dziewczynki, z powodu której straciłem prawe szkło od okularów, ale zachowałem prawe oko (- Za 11,17), szkoda mi kobiety, która szukała domu, bo tam, gdzie mieszkała nie była u siebie. Zastanawiam się czy ci mężczyźni, kiedy wytrzeźwiali chcieliby spotkać mnie ponownie. Tak wiele pytań bez odpowiedzi... - Jaka siła usunęła stąd tych „moich” sąsiadów?

Podróże kształcą

*„Wiecie, że ci, którzy uchodzą za władców narodów,
uciskają je, a ich wielcy dają im odczuć swą władzę.
Nie tak będzie między wami. Lecz kto by między wami
chciał się stać wielkim, niech będzie sługą waszym.
A kto by chciał być pierwszym między wami,
niech będzie niewolnikiem wszystkich.
Bo i Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służyło,
lecz żeby służyć i dać swoje życie na okup za wielu”.*
Mk 10,42b-45(BT).

Co łączy podróżników, pielgrzymów i wiecznych tułaczy? Powiem tak: może głównie to, że są ciągle w drodze i z dala od domu. Tłumy ludzi na dworcach i w pociągach... Dokąd oni wszyscy zdążają? Mobilność - to modne słowo usiłuje opisać zachowanie nie tylko ludzi, zmiany miejsca: migracje, czyli wędrówki, przesiedlanie się... Może chodzi o „oswajanie świata”? Zanim wyraźnie określimy cel naszej drogi jakiś niepokój pędzi nas dalej, bo nie wiemy, kiedy będzie ten ostatni raz. Zadowolają niektórych spośród nas zmiany miejsca i po prostu „bycie w ruchu”? Wbrew pozorom wiele podróży służbowych nie przekracza tego schematu. Eksploracja otoczenia? (Badanie; eksplorator - znaczy szperacz, szpieg, ale nie przesądzajmy sprawy...)

Sieć kolei spina olbrzymie przestrzenie jak wielka sieć niewidzialnego pająka. Co za skojarzenie?! Podróże mają posmak przygody i wolności, zwłaszcza wtedy, gdy masz czas i zniżkę kolejową, a nadto niewielkie pieniądze. Wiele pociągów regionalnych i dalekobieżnych to prawie luksus, gdyby nie tłok i plaga dymu tytoniowego. W takich okolicznościach ceną wolności są niewygody.

Pytasz jaki ekwipunek zwykle zabieram na drogę.

Bagaż nie za duży: kilka niezbędnych rzeczy jak szczoteczka do zębów, ręcznik i prowiant, a do tego książki: do czytania w czasie podróży, na prezenty i do sprzedania. (Chodzi mi o kolportaż, a nie handel). Zawsze parę złotych przydaje się, gdy jest dłuższa przerwa na przesiadkę i herbatę lub kawę w poczekalni dworcowej z barem.

Otóż pewnej zimy, jeśli się nie mylę w 1980r., nie mogąc dłużej stać w dymie i ciżbie na korytarzu mocno zatłoczonego pociągu, którym wracałem do domu z jednej ze swych radosnych wypraw, zdecydowałem, że lepiej mi będzie między wagonami. (Tak zwane „pulmanowskie” pociągi mają przejścia między wagonami obudowane: gumowe ścianki i sufit, ruchome jak miech harmonii, a nad zderzakami stalowe podesty). Mimo mrozu i wiatru można tam było wygodnie stać. Delektując się świeżym powietrzem, obserwowałem stłoczonych pasażerów przez szybę w drzwiach wagonu. Jakies małżeństwo drzemiące na swych tobołkach i dziecko - zaglądająca w moją stronę, może dziesięcioletnia, dziewczynka. Za każdym razem, gdy zauważyła, że jest widziana, odwracała główkę, a potem znów ukradkiem patrzyła. Korzystając z okazji, wyjąłem z teczki komiks dla dzieci „Życie Jezusa Chrystusa” i pokazałem jej przez szybę. Dziewczynka speszona wycofała się „z planu”, za to mężczyzna stojący dalej w tłumie wyraźnie się zainteresował...

Szybko wybrałem ze swych zasobów Nowy Testament i przygotowałem osobno, żeby mój Towarzysz Podróży nie mógł zaglądać mi do teczki. – Skąd ta nieufność?

– Nie wiem. Podświadomie czułem, że jest tajniakiem i właśnie ma ochotę mnie sprawdzić. Nie myliłem się. Mężczyzna sforsował tłok w przejściu, a gdy był po mojej stronie uprzejmie spytał:

– Czy mogę również skorzystać z tej „miejscówki” na zderzakach?!

– Lubię <dobrze> towarzystwo, świetnie się składa... Proszę bardzo! To darmowa miejscówka.

Może pan kupi Nowy Testament? - Zapropo nowałem bez dalszych „wstępów”.

– Nie, nie! Co to, to nie... Wie pan, nie lubię kiedy ktoś ingeruje w sprawę cudzego sumienia... A w ogóle dlaczego księża, a nawet sam papież mieszają się do polityki?!

Jeśli to pytanie kieruje pan do mnie, a nie do księży i papieża, to chętnie odpowiem. Nieznajomy ucieszył się, że podjąłem temat. Ciekawość wzięła górę, czy celowo mnie sprowokował?

– Myśl, co chcesz, to już bez znaczenia... Prawda to taka Pani, która się nie sprzedaje... Zaczniemy od wyjaśnienia, czym jest polityka

i czy ktoś ma wyłączność w tej dziedzinie. Słowo *polityka* pochodzi od greckiego wyrazu *polis*: miasto, ojczyzna, państwo; *polites* znaczy obywatel. Sprawy państwowe: organizacja i zarządzanie (kierowanie) życiem wielkich zbiorowości ludzi (społeczności lokalne, naród, społeczność międzynarodowa). Władze (państwowe, krajowe) mają środki przymusu takie jak prawo, policja, wojsko, przymus gospodarczy, który wynika z organizacji pracy i podziału (oraz dostępności) jej wytworów, i inne. *Władza duchowna* to przede wszystkim *Autorytet kościoła i duchowieństwa*; w tym również *papieża*. Przeto nie sięga on (Kościół) po świecką władzę i jej środki przymusu, gdyż jest jakby sumieniem kierowanej zbiorowości. Własne zadania wyznacza funkcja nauczycielska, prorocka i kapłańska Kościoła. To jest misja, a nie polityka!

Mój rozmówca, a raczej słuchacz, zgodził się i uznał, że państwo i kościół inaczej kierują ludźmi, gdyż czynią to różnymi środkami: zewnętrznego przymusu z jednej strony a wpływem wewnętrznym, czyli mocą przekonującą miłości i autorytetów na życie osób i wspólnot, z drugiej. To sytuacja modelowa. (Nie wiem, czy chciałem odregagować raniącą mnie hucpę i nie do końca szczerą postawę owego mężczyzny, jaką okazał na początku naszej rozmowy, czy był inny motyw, ale było to zaskoczeniem nas obu). Teraz ja zadam panu pytanie, jeśli można...

– Czy pan jest milicjantem? Szczerść za szczerść...

Mężczyzna bez wahania, jak uczeń wywołany do tablicy, odpowiedział:

– Tak, proszę pana. Jeżdżę po cywilnemu na różne pielgrzymki, aby służbowo słuchać kazań. Jednak wierzę, że świat odtąd może być lepszy. Teraz chciałbym kupić od pana ten Nowy Testament.

Jeśli to przez pana dążenie do bardziej ludzkiego życia świat odtąd może być lepszy, to proszę przyjąć Nowy Testament, jako prezent! - odpowiedziałem bez namysłu.

Punkt graniczny

*„Bo kto chce zachować swoje życie,
straci je; a kto straci swe życie
z powodu Mnie i Ewangelii,
zachowa je”. Mk 8, 35 (BT).*

Oglądanie pięknych pejzaży, interesujące lektury i rozmowy z ciekawymi ludźmi to nie jedyne atrakcje podróży. Ktoś mądrze zauważył, że nie tylko cel ma wartość, ale i dążenie, droga do niego. Jeżeli do kosztów ‘wojaży’ doliczyć czas, to najtańsza kolej musi być, z konieczności, najdrożej nim okupiona. Na ogół jednak tego nie żałowałam. Czas, który poświęcamy drugiemu człowiekowi, nie jest stracony, gdyż w jakiś sposób zaowocuje w przyszłości. Dobro podzielone z drugim mnoży się, rozprzestrzenia i nie umniejsza, a nasza indywidualna egzystencja również się poszerza i uspołecznia. Przerwa świąteczna w pracy jest dobrą okazją do odwiedzin rodziny i przyjaciół, a także do podróży...

Krzysztof, nie jestem pewien, czy tak miał na imię mój rozmówca współpasażer; nie chcę kłamać... wyglądał na smutnego i zagubionego, a przy tym chyba podchmielonego, melancholika. Jakby, pokonując nieśmiałość i może zawstydzienie, szukał okazji do rozmowy.

– Czy nie przeszkadza panu, że trochę wypilem? Mogę usiąść w tym przedziale? Miałem zły dzień...

– Ani trochę. Uśmiechnąłem się wyrozumiale. Bardzo proszę, niech pan siada; są wolne miejsca. Zapewniłem go, jakby tego nie widział, i uprzejmością próbowałem złagodzić wewnętrzne opory.

– Na oczach mojej córeczki samochód przejechał nam psa. Jestem zrozpaczony; ona jeszcze bardziej.

– Biorąc pod uwagę cierpienie pańskiego dziecka – podjąłem temat – sytuacja jest dramatyczna, ale nie tragiczna. Niech pan dziękuje Bogu, że na oczach waszego psa samochód nie przejechał dziecka.

To, co powiedziałem, zabrzmiało okrutnie i mało taktownie, ale efekt był skuteczny i trzeźwiący.

Szczęśliwy ojciec, mimo że prawdziwą ofiarą było życie pieska, ulubionego i niewinnego stworzenia, przyznał mi rację. Życie toczy

się dalej pośród zdarzeń niechcianych i często nieprzewidywalnych...

– Kupię córeczce drugiego pieska i będę bardziej uważał. Może przez to i ona będzie ostrożniejsza? Wie pan, w smutku zazwyczaj nie upijam się. Bardzo lubię muzykę i trochę gram przy różnych okazjach i dla poprawy nastroju, a brat gra w knajpie jako członek orkiestry na kontrabasie.

– Ja też lubię muzykę – wtrąciłem – ale gdy nie znajduję w niej pocieszenia, szukam go gdzie indziej...

– Czy ma pan na myśli wiarę w Boga? Mam z tym problem; zazdroszczę ludziom głęboko wierzącym... Chciałbym o tym porozmawiać, ale już za chwilę w Olsztynie wysiadam. Dziękuję za rozmowę.

– Za to ja mam przed sobą jeszcze ze trzysta kilometrów – odpowiedziałem. – I ja dziękuję.

– Mam dla pana ściągawkę, mini książeczkę: „Czy słyszałeś o czterech prawach duchowego życia?”. Dobrze się czyta parami: jedna osoba czyta książeczkę, a druga (pan) wskazane cytaty z Biblii.

– Dzięki za radę, poczytam z żoną.

Wydawało mi się, że cała rozmowa odbyła się dyskretnie jak na warunki podróży w pociągu. Przekazanie książeczki również (już na korytarzu przy wyjściu). Jednak myliłem się... Krzysztof, wychodząc, mocno i serdecznie uściśnął mi dłoń, a gdy wracałem do przedziału, inny podróżny najpierw zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Okiem eksperta zerknął na kolejarskie czarne skórzane kamasze i spodnie z sukna, ciemny ortalionowy brązowo-fioletowy płaszcz, czarny wojskowy krawat z dzianiny, przyciemnione okulary. Czy to aluzja do sortów mundurowych? – Nie.

– Ubiór wskazujący na... próbował zgadnąć mój nowy Towarzysz Podróży – tajniaka czy zaradnego biedaka? Przemknęło mi przez myśl, że wcześniej nas podsłuchiwał, ale nie mógł mi się dokładnie przyjrzeć. Resztę, jak mi się zdaje, zamierzał ‘rozpracować’ później, albo już mnie ‘sklasyfikował’?

– Czy mogę dosiąść się do pana przedziału?

– Proszę bardzo, to nie jest służbowy, ani zarezerwowany przedział. W towarzystwie czas minie nam szybciej. Zanim weszliśmy obaj z korytarza do środka, jakby poufnie i w celu zachowania dyskrecji podszedł bliżej i prawie do ucha (co za poufałość) zapowiedział

małe sprostowanie:

– Ten facet pana zbajerował; on nie jest muzykiem, tylko jeździ wózkiem akumulatorowym w Giżycku.

– Skąd pan to wie i dlaczego się tym interesuje? Zapytałem równie „poufnie”, tłumiąc rosnący gniew.

– Często jeżdżę tą trasą i już dłuższy czas go obserwuję - odpowiedział krótko i rzeczowo.

Zajęliśmy miejsca, tylko my dwaj w przedziale ośmioosobowym. Idealne warunki do poufnej rozmowy, na którą nie miałem teraz ochoty ani odrobinę. Przez moment zastanawiałem się, co lepsze - lektura czy drzemka, ale mój Towarzysz wyraźnie przejął inicjatywę. W czasie, gdy ja wyłuskiwałem książkę ze swego ciemnozielonego plecaka (strażackie moro), on szybko wyjął kolorowy komiks „Życie Jezusa Chrystusa”, wersja amerykańska, ale bez strony tytułowej, na której był adres wydawcy. Brak strony tytułowej jest dla bibliotekarza jak „czerwony alarm” - może to bowiem oznaczać, że ze skradzionej pozycji usunięto kartkę z pieczęcią biblioteki. Inny powód - to zwykłe asekuranctwo, bowiem książki z USA w kraju socjalistycznym były po prostu nielegalne, ale czy dla każdego... (Bez dalszego badania, kto i dlaczego uszkodził książkę, wyraziłem swoje niezadowolenie czy wręcz zaniepokojenie z powodu brakującej strony; zamiast cieszyć się piękną pozycją, którą właściciel uważa za bezcenny nabytek. Przecież te pochopne wnioski mogą być chybione).

– Skąd ten mur nieufności? Gdy ja walczyłem z emocjami, mój rozmówca dyskretnie, ale z uwagą patrzył na moje kolejarskie buty i spodnie. Myślę, że uznał je za „sorty mundurowe” („oficerki”?)

Nie przedstawiliśmy się sobie, ale w tej sytuacji miałem przekonanie, że mam nad nim przynajmniej moralną przewagę; napięcie emocjonalne i adrenalina dodawały mi pewności siebie. Bo „Strach przed człowiekiem to sidło, kto ufa Panu bezpieczny”, jak mówi Księga Przysłów 29,25 (BT).

– Czym pan się aktualnie zajmuje? - zapytałem, patrząc w przestrzeń.

– Pracuję na Punkcie Granicznym w Serpelicach. Jeżdżę służbowo pociągami „na cywila”, obserwuję pasażerów i podsłuchuję ich rozmowy. Szczególnie interesuje mnie wszystko, co dotyczy działalności

kościół, religii i wiary zwykłych obywateli. Ci ludzie są niebezpieczni: nie wierzą w socjalizm i władzę ludową. Prywatnie niech sobie każdy wierzy w co chce...

– No, niezupełnie. Pewnie słusznie jest wierzyć w prawdę, dobro, piękno, miłość, prawość i wartości...

– Nie dokończyłem myśli. Czy nie uważa pan, że warto wierzyć w to, co jest wiarygodne? - napierałem.

– Komu mam wierzyć, jeśli nie tym, którzy mi płacą? - odparł z niechęcią w głosie.

– Czy na pewno wszystko można robić dla (marnych) pieniędzy? Czy wiara i w ogóle przekonania nie mają dla pana większego znaczenia? Daję panu dwa miesiące na zmianę pracy! - Zablefowałem.

Popatrzył ze zdziwieniem i odpowiedział: Postaram się. Próbowałem przespać swoje trzysta kilometrów, ale nie mogłem; dobra mina do złej gry? Oszustwo?!

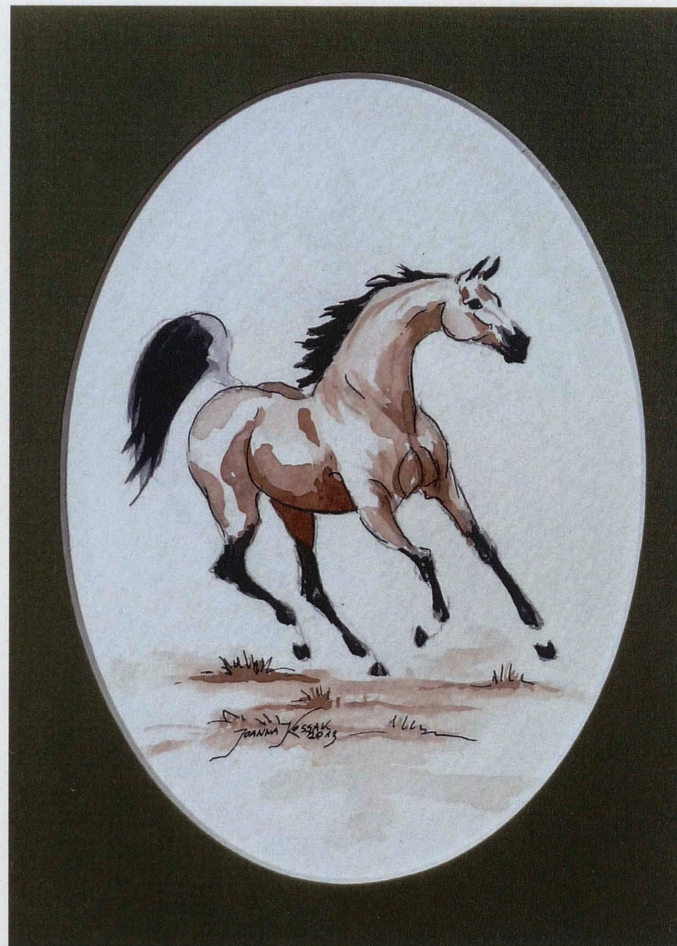
Adres publikacji w Internecie: www.roman-przygoda.blogspot.com

Joanna Kossak



Joanna Kossak







Roman Kowalewicz

WIGILIA

Mijały kolejne Wigilie. Wszystkie były samotne. Jaka będzie ta dzisiejsza? Powoli zapadał zmrok. Duża ozdobna lampa dawała słabe światło. Melania siedziała w fotelu. Modliła się, aby chociaż jeden Wieczór Wigilijny spędzić razem ze swymi bliskimi. Jej starsza o dwa lata siostra mieszkała w innym mieście. Kontakt ze sobą miały tylko telefoniczny. Nie miała wokół siebie nikogo z rodziny.

Z radia płynął śpiew: „*Pójdźmy wszyscy do stajenki*”... Na stole białe obrusy i dwanaście potraw. Ten dzień miał być inny. Miała go spędzić po raz pierwszy ze swymi bliskimi. Córka wyjechała z mężem do Anglii. Może gdyby mieli pracę w kraju, nie wyjechałoby. Nie odczuwałaby wtedy tak bardzo samotności. Syn ożenił się z Niemką. Mieszkają w Niemczech. Do Polski przyjeżdżają bardzo rzadko.

Puste, ciche mieszkanie i wspomnienia wypływające z każdej szafki, półki czy obrazu przypominały jej o minionym życiu. Dopóki żył Bronek, wszystko wyglądało inaczej. „Odszedł” trzy lata temu. Pamięta dokładnie ten dzień, kiedy się poznali, i ich ślub. Po ślubie mieszkali u teściów, a potem w wynajętym mieszkaniu. Na swoje mieszkanie czekali dwanaście lat. Przeprowadzili się do niego, kiedy Arkadiusz miał osiem lat, a Wioletka cztery. Trzypokojowe mieszkanie to była wielka radość. Przez następne lata urządzali pokoje i planowali swoją przyszłość. Ich życiową zasadą było wzajemne wspieranie się. Do wszystkiego dochodzili mozolną pracą (dzisiejsza młodzież chciałaby mieć wszystko od razu. Ładnie urządzone mieszkanie, dobrej marki samochód, dobrze płatną pracę). Dla nich najważniejsze było wzajemne zaufanie. Ona pracowała w zakładzie produkującym soki, pochodziła ze wsi, Bronek z miasta. Był synem stolarza, sam też poszedł w ślady ojca. Jakby to było dobrze, gdyby przychodziły wnuki, a ona z radością patrzyłaby, jak rosną i dojrzewają. Melania rozmarzyła się.

Niestety, rzeczywistość była mniej radosna, a mówią, że dzieci to radość. Przecież kiedy dorosną, to wyfruną z gniazda i tak naprawdę to zostajemy sami. Mogła spędzić Boże Narodzenie u sąsiadki, ale

przecież jest to święto rodzinne, a ona obca – źle by się tam czuła. Była pełna nadziei. Przyjedzie jej długo oczekiwany syn ze swoją rodziną. Jeszcze raz spojrzała na stół, czy o czymś nie zapomniała, chociaż przygotowywała Wigilię już od rana. Wydawało się jej, że to wszystko było tak niedawno. Całe życie przeminęło jak film. Co będzie, jeśli nie przyjadą? Nie, to niemożliwe – uspokajała samą siebie. To prawda, że dzieci przysyłały jej pieniądze, ale przecież one nie zastąpią czyjejś obecności. W młodym wieku nie myślimy o starości. Dopiero stając przed „metą życia”, zaczynamy dostrzegać to, co prze-gapiliśmy i ile czasu straciliśmy na sprawy nieistotne. Czasem żałujemy, że mogliśmy postąpić inaczej, niż postąpiliśmy. Dzisiaj Melania nie zastanawiała się nad tym. O godzinie piętnastej miał przylecieć do Polski Arkadiusz z żoną i synem. Mieli być u niej na Wieczery o osiemnastej. Czas płynął powoli, powodując najpierw lekkie zniecierpliwienie, a później lęk. Minęła dziewiętnasta. Nikt nie zapukał do drzwi. Wtedy zrozumiała, że ten wieczór spędzi samotnie. Po chwili usłyszała dźwięk telefonu. Podniosła słuchawkę. Przez minutę słuchała kochanego głosu. Jej radosna twarz powoli smutniała.

– Ja was też. Wszystkiego najlepszego w Dniu Narodzin Pana. Mnie też jest przykro. Do zobaczenia!

Nie przyjadą, tak jak przeczuwała. Na lotnisku panuje śnieżycy. Nie wiadomo, kiedy znów się spotkają. Nie tak wyobrażała sobie swoją starość. Jej oczy ze smutkiem patrzyły na drzwi, za którymi stała samotność. Była pewna, że znów zostanie sama. Wtedy nieoczekiwanie usłyszała nieśmiałe pukanie do drzwi. Czyżby Arkadiusz? To niemożliwe, przecież jest daleko. Otworzyła drzwi.

– Niech będzie pochwalony!

– Na wieki wieków.

– Przepraszam, że przychodzę w takim dniu. Czy może mnie pani poratować kromką chleba?

Przed drzwiami stał nędznie ubrany, zaniedbany starszy człowiek.

– Niech pan wejdzie.

– Nie, ja tu zaczekam.

– Proszę wejść.

– Dziękuję, poczekam. Wie pani, ja trochę nieświeży jestem.

– To nic. Usiądzie pan, a ja w tym czasie przygotuję jedzenie. Pro-

szę do stołu.

– Nie chcę pani zabierać czasu. Pewnie czeka pani na swoją rodzinę.

– Czekałam, ale już nie czekam, bo nikt nie przyjedzie. Jestem sama. Tak jak pan.

– Ja zawsze nie byłem sam. Miałem rodzinę, ale straciłem pracę i wszystko legło w gruzach. Nie mogłem znaleźć pracy. Byłem załamany. Stałem się kłótlivy, nieprzyjemny dla swoich bliskich, co w konsekwencji doprowadziło do rozpadu małżeństwa. Stałem się bezdomnym.

Melania słuchała z zainteresowaniem. Dopiero teraz zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, jak wielu samotnych ludzi jest na świecie. Zajęci swoimi sprawami nie dostrzegamy, że są ci, którym ludzkie słowo jest tak samo potrzebne do życia jak kromka chleba. Przesiedzieli, rozmawiając, trzy godziny. Była szczęśliwa. To jej pierwsza wigilia, kiedy mogła zasiąść do stołu i nie czuć samotności. Ten dzień był dniem radosnym, mogła podzielić się z inną osobą tym, co miała najlepszego, okazać jej swoje uczucie. Boże Narodzenie to piękny, radosny dzień dla tych, co nie są samotni. Niestety, dla wielu osób może być dniem goryczy i smutku. Ta chwila została w jej sercu na zawsze. Zrozumiała, że są inni, którzy jeszcze bardziej potrzebują pomocy niż my sami.

Koniec

Jan Krupa

Ciągle w drodze

Prof. Maciejowi Kaczmarowskiemu

Czyż można słowem
najzwyklejszym,
opisać człowieka?

Jego pasje i serce
tak bardzo bogate,
nienasycone
pragnieniem,
umysłu i serca

Pełno w niej człowieka,
tęsknot ku nieznanym,
jeszcze nie odkrytych,
jeszcze nie zbadanych.

Ciągle w drodze,
by innym nieść
nadzieję życia.
Zacny Profesorze,

Nasz Macieju Drogi,
niechaj nasze serca
wejdą w Twoje progi
by zaznać radości
człowieczego trudu.

A żeś opuścił,
Sandomierskie przestrzenie,
Samborzec, Chobrzany,
na Podlasie niosąc,
ludzkie pocieszenie,

dziękujemy raz jeszcze...
godzien żeś uznania,
za codzienność,
życzliwą.

Niechaj dokonania,
których nie skąpiłeś,
w sercach pozostaną,
jak tkliwość.

24 lutego 2006 r.

Niedokończony różaniec

Przesuwał w myślach
paciorki wagoników,
modlił się...

O czym myślał
kiedy już wiedział,
o bliskim kresie dni ?

Ja im obiecałem
że on zawiśnie
na brzozowym krzyżu
otoczony świadectwem
niełudzkiej udręki,
doli sybirackiej
niedokończony różaniec,
mój różaniec -

Powiedz im Reno,
tam w Białymstoku
że tak pragnąłem,
tak marzyłem,
powiedz im...

Białystok, 10 lutego 2005 r.

- Muzeum Sybiraków w kościele Ducha Św.

Pozdrowienia z Pieczurek

Witaj Złotousta posiadaczko wiedzy,
o tym co jest piękne i obok nas żyje,
w lesie, wodzie i pod polną miedzą.
Której ciepły głos w eterze leci
i której słuchają z uwagą w skupieniu,
starzy, młodzi a najchętniej dzieci.

Czekamy na Ciebie i mamy nadzieję,
że dzięki Twej wiedzy oraz doświadczeniu,
nasza od lat piękna i płacząca brzoza,
przetrwa razem z nami jeszcze długie lata,
znosząc burze, słoty, wichry i zawieje,
jeżeli Simona, potomek malarzy,
spojrzy na nią czule, trochę z nią pogwarzy.

Ustali na miejscu etapy leczenia,
które zatrzymają procesy niszczenia,
pięknej białej kory, pękania, murszenia,
powrót do świetności i długiego życia,
miłych rozmów z siostrą co opodal stoi,
która jak na razie chorób się nie boi.

*Białystok 11 listopada 2001 r.,
(wiersz skierowany do prof. Simony Kossak)*

Jesień na Pieczurkach

Promienie słońca
kolorem tęczy
przeglądają się
w porannej rosie.
jesiennego poranka.

Cudowne barwy
zastygły w liściach
dzikiego wina
które jak bujne włosy
pięknej dziewczyny
otulają łuk pergoli.

Szum wody w fontannie
powoli mnie usypia
a myśli biegną
jak obłoki
od jesiennego poranka
nad Dolistówką
do wiosenno-letnich
wspomnień dziecięcych
otulonej olachami
błękitnej Krępanki.

Białystok 5 sierpnia 2005 r.

Zaczarowana Krępianka

Rzeko dzieciństwa
przecinająca ogród
wypełniony zielenią
bujnej murawy
skąpanej,
w porannej rosie.

Śpiewem ptaków,
ukrytych w gąszczu
starych olch
wpatrzonych wciąż
w zwierciadło rzeki,
szemrzącej cicho
jak piękna melodia.

Cudowne tony
wciąż powracają
choć myśli płyną
wraz z jej nurtem,
w wieczność.

Mariola Kruszewska

ab aeterno

*Piękna tej krainy nie da się zapomnieć. Prawdziwe Mazury:
lasy, dużo wody, piaszczyste drogi w nieskończenie rozległej,
pagórkowatej przestrzeni. Wunderbar, wunderbar. (...) Być
może to najwyższy stopień miłości – kochać, nie posiadając.
Marion Dönhoff „Nazwy, których nikt już nie wymienia”*

jak pięknie jeziorniejemy
wsluchani w śpiew drozda i szum sosen
odwieczną melodię Stwórcy
niezmienną i niewzruszoną kruchością
człowieka wędrującego

ścieżki porośły asfaltem
naszymi śladami przeszły pokolenia
ale dzwony biją we wspólnym języku
na cześć i chwałę Artysty

żurawie zawsze wracają
uczą pisklęta przedwiecznej mowy
w narzeczu i nalesiu
alleluja szyszki ryby mrówki
i ty homo viator

trwa w magnifikacie
przeplatany różańcem jezior
skrawek dziękczynienia

spłachetek raju upuszczony na
ziemię wszystkich ludzi

w godzinie zmierzchu

A mój ojciec mówił od czasu do czasu: „To był dobry człowiek... tak, i ten był dobrym człowiekiem...”.

To wszystko, co chciał oznajmić u schyłku swojego życia, była to najwyższa pochwała, jaką znał ten osiemdziesięcioletni człowiek. O złych ludziach nie mówiliśmy. Ernst Wiechert „W rodzinnych stronach”

nie mówmy o złych ludziach
ludzie są dobrzy
tylko czasem zapominają
że Bóg ich stworzył na swoje podobieństwo

zbyt rzadko otwierają usta patrząc na jeziora

nie mówmy o złych czasach
czas jest zawsze dobry
na zmiany
rozzrucane szczodrą ręką historii

zbyt łatwo pozwalamy wrastać korzeniom

i nie mówmy o złych decyzjach
może są tylko złe uwarunkowania
geopolityczne

nam po prostu zabrakło szczęścia
jak to zwyczajnie bywa
na polowaniu

szeptucha

zgięta ku ziemi w ukłonie
błogosławi jagodom mrówkom
i leśnej macierzance

królowa spraw niemożliwych
do ogarnięcia przez certyfikowany rozum
błogosławiona wiedźma z prawosławiącym krzyżem
pod bielą

spluwający po trzykroć za lewym ramieniem
wieczorami wstydliwie pukają do jej drzwi
prosząc o wodę ze źródła
pradawnej mocy

po tykocińskim bruku

drzemią ludzie na ławeczkach
pelargonie w oknach
psy pod progiem

od kocich łbów odbija się turkot

jadą wozy kolorowe
śpiew pobrzękuje cekinami i dobrą wróżbą
roztańczony tabor toczy się tamburynem
w takt furkotu falban

leniwie przetaczają się drabiniaste
ugięte pod zielonymi czapami urodzaju
kołyszają biodrami
gubią siano i drogocenne kłosa
po które konie darmo rozciągają chomąta

krochmalone damy wyfraczeni kawalerowie
błyszczą manijerą i złoceniami
perlisty śmiech wysypuje się pod okucia
już niedługo elegancja przywdzieje mundur
powozy zastąpią siodła

których wybrała fortuna
chroni blaskomiotna karoseria nowego
produktu firmy Daimler-Benz
których wskazał los
chroni Matka Boska
poniosą swoje życie upchnięte w toboły
na plecach

drzemią pasażerowie autobusu z Białegostoku
podskakują głowy wsparte o szybę
od kocich łbów odbija się echo

na ławce

stara kobieta siedzi pod płotem
ona i sztachety wspierają się wzajemnie
to konieczne w ciężkich czasach

w bezzębnych ustach przeżuwa
modlitwę
palcami kruchymi jak gałązki
przygląda babie lato pod chustką

skrzypią zardzewiałe stawy
rozsypują się okruszyny

w tym wieku nie pamięta się
imion poduszonych w komorach
rozstrzelanych pod murem
powieszonych
i tych co zwyczajnie umarli na tyfus
kto by tam ich zresztą zliczył
po czterech klasach szkoły powszechnej

ludzie są dobre pani

amen

dzięciół pracowicie wykuwa szczęśliwy los
sójka porzuciła walizki
gdzie jej będzie lepiej niż tu

bociany w czarnych garniturach
chóralnym klekotem ostrzegają
przed komercjalizacją

piaszczysta dróżka wije się
jak zaskroniec syczy
opona hamująca przed frasobliwym
w błękitnych ostrózkach

na bagnach ukryte przed Europą
medytują łosie
wsparte o zieloną ścianę B

niech się czują jak u siebie
na wieki wieków

których w yocals formu
chował błaskawość kanoserie nowego
podłogi firmy Damiel-Benz
których w yocals formu
chował błaskawość kanoserie nowego
podłogi firmy Damiel-Benz
których w yocals formu
chował błaskawość kanoserie nowego
podłogi firmy Damiel-Benz

dziwnie postawione autostan z Białogostku
podkładał się w wparcie o szybę
co korcił słowem obłąka się octo

Jan Leończuk

Od mężczyzny noc zabiera drżenie ciała i cichy szelest liści za oknem. Nadciągnie jesień. Promień księżycowego światła pozostawiony na niespokojnym prześcieradle zbiera resztki snów. Walizki rozbebeszone nie mogące pomieścić wspomnień, z cicha pojękują.

Pozostały pordzewiałe zamki, wyleniałe wzruszenia.

Kobiety coraz częściej płaczą patrząc gdzieś daleko, za okno.

Fiolet letniej nocy pokrywa się szronem jesieni.

Mężczyźni milczą.

chłopięcość utonęła w stawie
rozwartym na oścież
kiedy rehot mężczyzn lubieżnie obejmował mrok
pozostała jedynie jak porzucony kombinezon
skóra
oczekująca dotyków i słów
od których gwiazdy zaczynają swój szept
niewypowiedziany

na bagnach ukryła przed Europą
miedzią i żelazem
wsparte o siebie i siebie

niech się czują jak u siebie
na wielki wiek

wejdz - powiedziała
zamykając powieki snu

Pęczniała radośnie wiosna. Słowa ześlizgiwały się z nabrzmiątych ust mężczyzny, osiadając na torsie nadśluchiwały serca. Układając się w aksamicie jego skóry, powracały ku blednącym horyzontom, które zdecydowanie swojej linii zamieniały w mgły i pot.

A wtedy oczy mężczyzny pożądliwie przywoływały zapach tataraku i nie zżętego zboża. Lato znowu rozczyniało w dzieży niespokojne noce. W gęstwinie porastającej tors coraz częściej pojawiały się czyjeś dłonie. Niecierpliwe i wypełnione pożądaniem.

Księżyc na makatce nieba nadal wędrował samotnie. Rojowisko gwiazd łaskotało nocnym śpiewem ptaków.

I tak przetaczało się życie.

Jedyne i niepowtarzalne.

Jęzory chłodu docierały na skraj lasu. Połyskiwały gwiazdy jak pierwsze wiersze wypełnione wiarą pragnienia. Nagie ciało nie znało jeszcze zmarszczek i obumierania. Pełne rozśłonecznienia wchodziło w noc.

Zabrakło jedynie odgłosów życia, aby w pełni zrozumieć prawdę dorastania.

Słodką w marzeniach

gorzką w niespełnieniach.

Jęzory chłodu smagały. Tajemnica nocy nadal pozostawała nie-rozpoznana.

I wtedy z mroku wyłonił się głos: chodź ze mną!

Ojciec w miednicy wielkiej jak niebo, moczył nogi. Lampa spoglądała ciekawie na zreumatyzowane palce i popękane stopy. Odciski z nóg ojca nie miały ochoty ustąpić. Dolewano wrzątku a wówczas odtajałe pływały jak orderzy, których mu nigdy nie wręczono.

Traciliśmy ojca po kawałku.

Na księżycu pozostawały plamy jak odciski w miednicy. Ojciec wchodził w niebiańskie czeluści. Bieluteńkie nogi ginęły w pierzastych obłokach. Pokornie przyjmowaliśmy nasze sieroctwo.

Pozostała zardzewiała miednica

Wielka jak niebo nad głową.

Wywoływanie obrazów, które zdążyły zamienić marzenia w sen, było już zbędnym zabiegiem. Wszędzie porastały wrzosowiska. Kwitły, nie zważając na porę roku. Fioletami malowały przybladłe niebo. Wchodziły w język i małowówność nie pozwalała na jakikolwiek zachwyt. Cisza wypełniała każdy skrawek pamiętania, do którego nie dotarły jeszcze wrzosowiska. I tak byłoby do końca świata gdyby kinematograf nie wydał ostatniego tchnienia.

Na ostatnim obrazie były nagie stopy i podwinięte nogawki spodni. Jakby wody płodowe przyjąć miały zdumienie całego świata.

Wywoływanie obrazów zostało obłożone dotkliwymi restrykcjami. Nie było już stóp ani jesiennych wrzosowisk. Było milczenie, zastygłe i bezbronne zarazem.

Tego roku nastąpił wysyp galerii. „Sztuka współczesna zamiast sztuki mięsa” – głosiły hasła. „Sztuka jako antidotum na niegodziwość świata” – krzyczeli „nowi artyści”. Podobne hasła pojawiły się na innych kontynentach. Wymieniano między sobą zaproszenia, pisano recenzje wypełnione niepomiarowanym zachwytem. Ten zachwyt miał omotać rządzących, którzy trzymając się kurczowo swoich stolców, potwierdzali ten stan ducha, obiecując budowę nowych galerii. Wszyscy już byli artystami. Tych z naszej wioski chwalono pod japońskim niebem, tych z Antypodów opisywano w eskimoskich galeriach. I tak się nakręcała spirala wzajemnych, światowych kontaktów. Na uniwersytetach medycznych nie wykładano psychiatrii. Jedynie „Dezintegrację” promowano jako sposób osiągnięcia życiowej nirwany.

W mojej wiosce w każdej chacie była już galeria sztuki współczesnej. Wioletka, której obrzęki na nogach nie pozwalały na wędrówkę po świecie szerokim, obierała teraz brukiew, gotując ją w ogromnym parniku. Znamcy tego rodzaju sztuki okrzyknęli symbolem Matki Żywicielki. W kłębach pary sprawiała wrażenie, jakby dokonywała magicznych zabiegów. Nóż w jej rękach sprawiał, że oto z powłoki fałszu odzierano rzeczywistość: unurzana w ziemi, brudną i cuchnącą. Mlaskanie miało zastąpić archaiczne oklaski.

A jej koleżanka – Beatka zdjęła z okien firanki i siadła na krześle, jak ją Pan Bóg stworzył, dziergała coś na drutach i milczała. Milczenie w świecie kakofonii miało być protestem a zarazem ocaleniem. Na uszach nasza artystka miała ogromne słuchawki, pewnie się kontaktowała z performerką z Hiszpanii, która wpatrzona w oliwkowe drzewa udowodnić miała, wegetariański sposób wzmacniania słabej woli.

W każdej chacie była już galeria. W budynku byłej szkoły trwały warsztaty teorii sztuki współczesnej. Jeden z prelegentów siedząc na dachu rwał kartkę po kartce, znaleziony na szkolnym strychu elementarz i robiąc z nich papierowe samolociki wypuszczał je w przestworza. Podziwialiśmy jego pożegnanie z dzieciństwem. Andżetka twierdziła, że jest to protest artysty przeciwko szkolnemu nauczaniu. Były więc kłótnie. Wielu udowodniało, przystawiając drabiny do swoich dachów, że w ich pokazie jest więcej ekspresji. Rwali strzechę,

łamali eternitowe dachy wykrzykując wpisane w ekologiczne przykazania. Inni filmowali to wszystko aby później owe wideo artystyczne zaprezentować innym. O niczym już nie debatowano tylko o sztuce. Nie interesował ani rząd ani parlament, ani to kto w gminie zarządza. „Sztuka ocala nas” – wykrzykiwali.

drzewiaste marzenia
senne kwilenia
zadeptane dni

chwile zatrzymane
nierozpoznane
tętno życia drwi

szukam snów zapadłych
w zadziwionym kwieciu
i łzawym poranku

nazywają rosą
nocy westchnienia
a sen spełnieniem

A jej koleżanka – Benika zjechała z okien franki i siedła na krześle, jak ją Pan Bóg stworzył, dziergała coś na drutach i milczała. Milczenie w świecie kafeinobli miało być protestem a zarazem ocaleniem. Na uszach nasza artystka miał ogromne słuchawki, pewnie się kontaktowała z perkusistką z Hiszpanii, która wpatrzona w oliwkowe drzewa udowodnić miała, wegetariański sposób wzmacniania słabej woli.

W każdej chacie była już galeria. W budynku byłej szkoły trwały warsztaty lewni sztuki współczesnej. Jeden z prezydentów śladząc na dachu rwał kartki po kartce, znaleziony na szkolnym strychu elementarz rybnego z nich papierowe samolociki wypuszczał je w przestrzeń. Podziwiał jego pożegnanie z dzieciństwem. Andrzeja chwycił, on jest też protestem artysty przeciwko szkolnemu nauczaniu. Kiedy waga kłótni. Wiele udawało, przystawiając drabiny do ścian i słów. W ich pokazie jest więcej ekspresji. Rwali strzebą.

posnęli aniołowie w cerkwi
szeptem modlitw ukołysani
kadzidłem odurzeni
na księgach świętych kładąc swoje głowy
w milczeniu

pod kopułami świątyni
dzwonki z łąk przywołane
jeszcze radują się w bożym przybytku
napoczętymi snami

i tylko z nagłą
chorały spowijają
spijając modlitwę ciszy

wplecie się w inne melodie

antychodów
anabazów
Gie
ludobójców
budynków

wymarzy puls miasta
wypłut stumem jego arterię
prawymanie w zatokach hipermarketów
skachajac bicia jego serca
popłoch i ja – egzystencjalna krwinka

nie pytaj drzew
o ukryte pod korą tęskne westchnienia
śniegiem otulone
opłukane wiosennym deszczem

jeszcze nagie
a pełne spełnienia

jeszcze nie przyrodziane w liście
a gotowe aby je utracić

pod stopami
kolejna jesień
bezmowna

Grzegorz Nazaruk

harmonogram

w komputerze wprowadzam
harmonogram pracy
ta prosta czynność wirtualna
jutro zmieni się w rzeczywistość
ustawiony jak na pięciolinii rytm
przeniesie się na

rodziny
osoby
dni
tygodnie
miesiące

wplecie się w inne melodie

samochodów
autobusów
ulic
chodników
budyneków

wyznaczy puls miasta
wypełni szumem jego arterie
przystanie w zatokach hipermarketów
słuchając bicia jego serca
popłynę i ja - egzystencjalna krwinka

obserwuję

przyszędłem usiadłem

obserwuję

przyszły rozejrzały się usiadły

rozmawiają szczebioczą

piją degustują smakują

uśmiechają się dotykają

przytulają ogrzewają

śmieją się promienieją

spozregły kokietują

udają zaciekały się

onieśmieliły

skończyły zapłaciły

wstały wyszły

uspokoilo się

zostałem

siedzę obserwuję

poczęcie

iskierki

ekstazą dwojga płomieni

połączyły się

stworzyły światło

którym promieniejesz

do rozwiązywania

zagadki życia

podgląda podwórka

podgląda obcych ludzi

przez otwarte drzwi

wychodzi na rozstaje

pedzi ze śladem saren

przenika przez drzwi

dyszy

wzbuja się wraz z bocianem

spisany na synonim

kołując nad moim światem

złoty kielich

reportaż z Afganistanu

gdy o poranku budzę się skąpany
słonecznym lekkim jak pyłek deszczykiem
widzę dookoła podrapane ściany
jakaś kobieta przerywa sen krzykiem

na kartonowej pod oknem leżance
w ciasną przed chłodem grupkę zbite dzieci
w łachmanach swoich wspomnień miarkę
z lotem bocianów ukrywają przecież
nie wiedzą co to położniczy ...

oddział ubrany tak że go nie widać
przemknął pod murem rzucając cień grozy
ktoś wyjął chleb wydany na przydział
ulicą ciągną pancerne powozy

przejęty trochę trzydniowym zarostem
resztki snu zrzucam perlistą fontanną
spoglądam w lustro pęknięte od bomby
na kraj objęty wojny kwarantanną

wybrałem

wybrałem ze swego życia
spory fragment
oprawiłem go w ramy
powiesiłem na ścianie
patrzę

wyrywa się
biegnie ulicami
wchodzi w zaułki
odwiedza podwórka
podgląda obcych ludzi
przez otwarte okna
wychodzi na rozstaje
pędzi ze stadem saren
przenika przez drzewa
dyszy

wzbija się wraz z bocianem
spłoszonym na słonecznej łące
kołuje nad moim światem

szuka wolności

Barbara Noworolska

Puszcza knyszyńska

Zmęczona głowa słońca
 chowa się
 w pióropusze sosen
 sarna szuka już leża
 zając między
 człowiek domu
 tylko wilk
 szykuje łowy
 przy tarczy
 księżycu

przejęty trawką trzydzielowym zarostem
 reszki snu rzucam perlistą fontanną
 spoglądam w lustro pełnię od bomby
 na kraj objęty wojny kwarcianą

WIECZÓR

Narew rozwija
 Siwe chusty mgieł
 Tłumi symfonię wiatru
 Grająca w zagonach trzcin
 Łąki w mokrych płachtach
 Opuszczają krowy
 Opite zielenią
 chroniąc się
 W ciepło obór
 Cichnie krzątania podwórek
 I ogarek księżycu
 Zaczyna melodię
 Nocy

Przechodzi z klasy do klasy
 Z dnia do dnia spokojnie
 Nie licząc lat

Starość jest pazerna
 Wykrzywionymi paluchami
 Z obwódką smutku
 Liczy wspomnienia
 Samotnie przebiega
 Dni miesiące lata
 Łapie chwile
 W wąskie garście
 Zgarbiona
 Siłą ciężenia idzie
 Do meły
 Do granicy
 Do końca
 Odwrócona plecami

LATO KRESOWE

Baranki
 Pasą się w błękanie
 Ciężarne zielenią pastwiska
 Nabrzmiwiają mlekiem
 W sytym nurcie zmierzchu

Starość jest jak
 Łza
 Płynie zawsze
 W dół
 Życie
 Młodość jest bogata
 Otwarta
 Rozsiewa uśmiechy jak ziarna
 W gromadzie zbiera chwile
 Powoli niedbale
 Wrzuca je
 W kosz wrażeń
 Przechodzi z klasy do klasy
 Z dnia do dnia spokojnie
 Nie licząc lat

Starość jest pazerna
 Wykrzywionymi paluchami
 Z obwódką smutku
 Liczy wspomnienia
 Samotnie przebiega
 Dni miesiące lata
 Łapie chwile
 W sękatę garść
 Zgarbiona
 Siłą ciężenia idzie
 Do mety
 Do granicy
 Do końca
 Odwrócona plecami.

HISTORIA

Krew niewiniątek
W ziarnkach piasku
Szyja Kapota
W ostrzu gilotyny
Westchnienia ludzkie
W dymach Birkenau

Historia rozpięta między
Niebem a ziemią.

NOC

Welur nocy
Ze złotymi oknami
Gwiazd
Przez nie święci
Spoglądają tęsknie
W dół
Na ziemię
Słodko śpiącą
W kołysance drzew.

BIAŁYSTOK 1970

Białystok budzi się
 Miętko
 Spowity w perkale
 Przeciąga autobusami
 przez Warszawską, Lipową i Antoniuk
 z wieży ratusza
 melodia Prząśniczek zagania
 prządki o nogach
 znaczonych mapą żył
 do krosien i farbiarni
 Białka rumieni się ze wstydu
 albo błękitem konkuruje z niebem
 słońce trzepie poduchy obłoków
 albo odpoczywa na dachu ratusza
 w zapachu kawy
 i dialogu o sztuce
 już południe

Miasto III

Siwy piach
 Zorany w ulice
 Biegnące w horyzont
 Ze słońcem jak order
 Przypiętym
 Do ratuszowe wieży
 Prowadzi z kamiennych twierdz
 W zielone przestrzenie
 W oddechy traw
 Szepty lasów
 I skrzydła błękitu

Karole jest pazerna
 Wykrzywionymi paluchami
 Z obwódką smutku
 Liczy wspomnienia
 Samotnie przebiega
 Dni miesiące lata
 Łapie chwile w sekacie garście

Zgarbiona siłą ciężenia
 Idzie do mury
 Do granicy
 Do końca
 Odwrotnością plecami

ŁOMŻA w lipcu

Fala w błękanie
 Wynosi księżyc
 Na krawędź wzgórza
 Woń tymianku kołysze
 Dzwony Panienek
 Dłonie gotyku
 Rozmodlone macierzanką
 Dźwiękiem Gilgamesza
 Płyną
 W obłoczne dmuchawce
 W spłowiłym nimbie południa
 Historia
 Kołysze legendy
 Pachnące piołunem
 I miętą

ŻYCIE

Młodość jest bogata
 Otwarta
 Rozsiewa uśmiechy jak ziarna
 W gromadzie zbiera chwile
 Powoli niedbale
 Wrzuca je w kosz
 Wrażenie
 Przechodzi z klasy do klasy
 Z dnia do dnia
 Spokojnie
 Nie licząc lat

Starość jest pазerna
 Wykrzywionymi paluchami
 Z obwódką smutku
 Liczy wspomnienia
 Samotnie przebiega
 Dni miesiące lata
 Łapie chwile w sękatę garść

Zgarbiona siłą ciężenia
 Idzie do mety
 Do granicy
 Do końca
 Odwrócona plecami

Ranek

W chustach siwych
drzeźnią łąki
czekając słońca

Konie grzywami
zagarniają mgły
w rozlewiska rzeki

W mleko świtu
wsiała promień
nowego brzasku

Wstaje dzień

Krystyna Perk

SENTENCJE I AFORYZMY

Chcesz długo żyć? Sprawiaj, by życie z tobą dobrze się czuło.

Odebrać sobie życie to nie przyjąć od losu najcenniejszego daru, jakim jest czas, w którym może się zdarzyć wszystko.

Życie ludzkie bez znaczenia, gdy setki milionów w kieszeniach.

Praca ludzka przedłuża życie o czas trwania jej owoców.

Sięganie do tradycji wypełnia czas dany nam, a nie wieczność.

Nic chamowi nie tłumacz, zostaw natychmiast, bo jego chamstwo cię obwini i zbruka.

Przechodzisz obok pracującego ponad siły? Albo mu pomóż, albo omiń bez słowa, bo nawet za pochwałę ci się oberwie.

Szydercy – małpy w ludzkiej skórze.

Nieświadomi swej cechy bezduszni szczytą się tym, zamiast mieć kompleksy.

Popularność – pomyłka na temat danej osoby.

Pilką jest kraj dla polityka, któremu drobne przejęzyczenie oponenta wystarczy, by po meczu wyborczym wznowić grę.

Polityk to człowiek, któremu zostało odebrane prawo do omylności ludzkiej.

Higiena – rodzaj moralności.

Nieważne z kim się pije, tylko – ile.

Nałogi – najpodlejsze inwestycje, im pod zastaw musisz dać siebie.

Fałsz – jedyny sposób na przetrwanie z kimś bardzo różnym od nas, z kim być musimy.

Nierozzerwalna miłość małżeńska jest jednym z najpiękniejszych kłamstw.

Miłość może sobie odejść, ale wierność niech zostanie.

Wierność to dowód na to, że człowiek nie jest częścią zamienną do naszego życia.

Wątpliwości – wierne towarzyszek osobistych wyborów.

We dwoje byliby szczęśliwi, gdyby nie idealne wyobrażenie o tym.

Małżeństwo – pomost między dziką chucią a wolną, odpowiedzialną miłością.

Słabi potrzebują ułudy.

Chcesz słabego uratować? Musisz go dowartościować.

Pochlebstwa zatapiają, a wznieść się można tylko na konstruktywnej krytyce.

Dobry psycholog prawdę ubiera w taką szatę, w której da się ją zaakceptować.

Największe bohaterstwo to odwaga do zmierzenia się z prawdą.

Pożegnanie się z własną pychą – najtrudniejsze zadanie.

Odważna wiedza nie musi kryć się za stanowiskiem, sama sobie poradzi.

Dotąd będzie trwała sztuka, dokąd za okrucieństwa będzie oskarżana ofiara.

Książka to nienatrętne drzwi do innego świata.

Żeby książka stała się bestsellerem czasem wystarczy zmienić jej autora.

Jasnowidzenie wyrasta na wyobraźni, a wyobrażenia – na czytaniu.

Piszą seryjnie. Złodzieje czy grafomani?

Zdobywają góry – nie wiedzą, że celem życia jest wznieść się na szczyt świadomości.

Świat stał się wioską, w której bogatym wszystko wolno.

Wszystko jest po coś, a uczciwość po to, by ją sponiewierano.

Niech bydlęca obojętność nie pozuje na dystans.

Przełammy opłatkiem nasze urazy.

Marzenia szyte na miarę własnych możliwości zawsze się spełniają.

Zmarszczki to nauczycielki dystansu do ciała. Pojętnym jest łatwiej się z nim rozstać.

Siwizna to barwa najbardziej poetyczna – u każdego inna.

Milczenie nie zawsze oznacza zgodę, czasem brak sił na sprzeciw.

Konflikt? Nie uciekaj, rozwiązuj.

Wzbudzać wdzięczność to wznosić świątynię serca.

Zło nie zapomina drogi powrotnej dzięki mściwym, a dobro – dzięki wdzięcznym.

Pamięć to labirynt, w którym błądzi człowiek.

Piękne chwile to bastiony do przetrwania chwil brzydkich.

Sztuka życia w spokoju polega na umiejętności zapominania faktów, które nie powinny się zdarzyć.

Największe ciosy to te, które zadajemy sami sobie.

Zmartwychwstać to zemstę zamienić w przebaczenie, nienawiść w miłość, a wojnę w pokój.

Szukając oparcia najłatwiej jest pójść na dno.

Powrót po latach – utopia.

Mur – symbol ignorancji.

Obraz – pułapka na niedojrzałe osobowości.

Biblioteki – panteony pisarzy.

Dobry warsztat literacki – nauka sknerstwa słowa.

Po co płacić za edukację, skoro za darmo wielu chętnie poucza?

Szczęśliwy: w swojej przeszłości znalazł piękną chwilę, w której zamknął całe życie.

Nieszczęśliwy: nie potrafi wyjść z mrowiska okrutnej chwili.

Pieśń – klucz nie tylko do serca.

Jest takie cierpienie, od którego żadne piękno nie odciągnie.

Chemiczna eutanazja – upadek ze szczytu samotności o nieodwracalnych skutkach. „Prymitywne ludy” potrafiły uwolnić od beznadziejnego cierpienia wibracją wspólnie śpiewanych pieśni, co nie zawsze kończyło się śmiercią.

Biada światu, w którym zostaną tylko zewnętrznie piękni i młodzi.

Wiara: jej moc najtrudniej pokonać.

Nie martw się o swój pogrzeb, to zadanie dla robaków.

Umarli niczego nie potrzebują, ale na żywych uczuciach do nich jest najłatwiej zarobić.

W nocy sąsiad kaszle za ścianą – dla dziecka to pocieszenie, że nie jest samo.

Raj to współpraca.

Mądrość natury polega na tym, że ludzkość zawsze odradza się od ludu.

Szacunek – eliksir długowieczności.

Hubert Piętka

*** [Być tak prostym...]

Być tak prostym
że aż nudnym
byle nie obłudnym!

być tak jasnym
i czystym –
że aż przeźroczystym!

być nawet szorstkim
niekoniecznie bohaterskim
byle nie błyszczącym –
jak paw się puszającym!

być jakim jestem
białym czarnym niebieskim
byle sobą być
i jasno żyć!

Księga Życia

Wszystko, cokolwiek robisz
ma swój inny wymiar.
Zapisujesz nieustannie Księgę,
którą u kresu przeczytasz.

Wszystko, cokolwiek powiesz nie uleci, nie uleci.
Każde twoje słowo złowi się w sieci
i zostanie przez Prawdę precedzono,
i pójdzie z tobą na tą drugą stronę.

Każdy twój ból, cierpienie
przemienia ciebie
w bardziej zdatnego
dla Królestwa Niebieskiego.

O ile w oporze się nie zatniesz.
I nie powiesz:
ja tego nie potrzebuję,
ja tu króluję.

Każdy twój krok
przekłada się na twoje istnienie.
jest zapowiedzią przyszłego trwania,
lecz już bez ustania.

Przeczytasz to wszystko,
gdy już zamkniesz oczy.
Wtedy serce na szali położysz.
Czy ono przeważy?

Czy Księgą, którą piszesz
nakreśli uśmiech na Twojej twarzy,
czy dostaniesz po twarzy
swą złością w czeluści,
a nie postaniesz w Niebieskiej Jutrzni.

Mimozy jesieni

Okruszek wzruszeń
poruszę
w materii
świata
światła

kromka chleba
kawałek nieba

niebieski piesek
osesek
maleńka dumka
rozumka

a księżyc
książęcy
ślęczy

w pełni
się plemi

a zielona trawa
do mnie gada

.... o zaczynającej się
jesieni
bo winne grona dojrzały
sfioretowiały
słodycz rozlały

bo papierówki już
poległy
w żółtości swej
powiedły...

lato przebiegło
za mgłą
w bezwietrze
skropląją
i jeszcze ciepłe powietrze

jesień
życia koleje
niesłychane dzieje
turkotnie
się śmieje

uśmiecha
czeka

świat pięknie
trudnie
jaśniej

złocisz
stokrocisz
musisz
przeminąć

Nie oburzaj się!

Synu,
nie oburzaj się na grzeszników!
Ich twarze jasne
trzosi zasobne
ciała krzepkie
a
myśli plugawe
i dusze śmiercią zatęchłe!

Nie oburzaj się!
Przeminą szybko
jak trawa!
Pławiąc się w swym plugastwie
oblędzie zła i pysze
na wietrze się kołyszają
- martwi,
jak na wróble strachy!
Przeminą, nie wiedząc o sobie
- jak słoma ze strzechy!

Nie oburzaj się!
Nie!
Lecz trzymaj się!

W pokoju trwaj!
Złu się nie poddawaj,
dobro pielęgnuj
i w radości modlitwy
dalej i głębiej
- ku Bogu sięgaj!

O cierpieniu

Gdy piszę o cierpieniu,
nie mów mi:
o jeleniu!

Gdy boli,
myśl już nie swawoli,
a uczucia przytępione
podążają w swoją stronę.

I nie wiesz wtedy,
kim jesteś
i dlaczego
zamknięto cię
we własnego ja
areszcie.

Tam żadne światło
nie dociera,
jak w czasie burzy,
gdy niebo się chmurzy
i odcina cię od słońca
do dna, do końca.

A słowa są bez znaczenia:
dla pogrążonego w cierpieniu
jelenia.

Prorokuj do tych kości,
syny słowiczy,
prorokuj...

Odezwa – Do wyznawców

Głośmy Chrystusa
na forach i ulicach
współczesnych areopagach
choć może to nie wypada

Nie trzeba robić
tego natrętnie
by ktoś
nie słuchał niechętnie

lecz z wycuciem i miłością
w pokoju i z radością

byś zniechęcając do siebie
nie zniechęcił do Chrystusa

On sam poda ci w usta
co masz robić
co masz czynić
by pozostać bez winy

i nie martw się o męczeństwo
On sam daje męstwo
to wydaje się nad siły
lecz nie, gdy działa Jezus miły

więc nie martw się już o nic
nawet gdy nastąpi przekroczenie
wszystkich granic
Jezus do ciebie przystąpi
bylebyś nie wątpił!

Spal mnie

Nie spalaj mnie!
Spal mnie – Panie!
Jak papierosa nad ranem.

Niech tak się stanie!

Ja ci, człowiecze,
niczego nie dodam,
moje myśli – słoma!

Nie spalaj mnie!
- spal mnie,
człowiecze!

Nim życie uciecze!
Iskierka dymu
szybko się wlecze.

Spal mnie
- w miłości,
do białych kości!

A potem
wypij do dna!
- Niech taka będzie droga ma!

Szukam drwala,
który porąbie mnie
na kawałki!
- Tak dokonam życia walki...

Prorokuj do tych kości,
synu człowieczy,
prorokuj...

Wierzę

Wierzę, że będzie dobrze.
Nie naiwnie, a pobożnie.

Będzie wiele trudności,
lecz przezwyciężymy je w miłości.

Może będzie i strach,
lecz nie poddamy się, ot tak.

Na niejedną wejdziemy górę.
Z niejednego wyjdziemy dołu.
Pokonamy każdy lot w chmurach.
By znaleźć ciszę w naszym domu.

Bo najważniejsza i najpiękniejsza
jest ta rodzina, którą tworzymy.
Każde zło przezwyciężymy!

Szatan nie pognębi nas w swej podłości.

Tak przetrwamy każde życia burze,
by znaleźć się na własnym podwórzu
domu z ogrodem
- wspólnego chleba z miodem.

- Naszego wspólnego do końca bycia, żono moja!
Tyś moja pewnośc, moja ostoja!

W tym zwiewnym, ulotnym, lecz pięknym trwaniu
napiszemy najpiękniejszy poemat o wspólnym się dogadywaniu
i pokonywaniu zawieruch losu
siłą wspólnej miłości zakorzenionej w Bogu.

Nie trzeba tu patosu,
bo miłość to prostota!
Zwycięstwo nad złem nadziei,
wiara w Boga!

Taka nasza wspólna robota
trwania razem naszego,
aż do dokonania skonu swego
- lecz w pewności spełniania
i wiary w wieczne przeznaczenia.

Mirosław Pisarkiewicz

Autoportret z Fridą Kahlo

Ufam, że odejdę bez żalu i że już tu więcej nie wrócę
- mówi Frida

zboża łaszą się do naszych nóg gdy idziemy ścieżką
malarka trzyma na ręce swoje dziecko
a ja niosę swoje na barana
obarczony poezją
poruszam się ciężko
rytm naszych potłuczonych ciał kołysze mijany świat
wędrujemy przez zapach poranka
przez ulicę żydowską
mimo siebie
Frida ma Diega
mój ma na imię Ewa
wzgórze przed nami zapłatało się w deszczu
włosy Fridy przeniknęły w każdy z jej obrazów
i w niejeden z wierszy

Maleńka ściska rączką kciuk mojej dłoni
nad głową Fridy pęcherzyki światła
a między nami droga uroczysta

I ty miałaś niebieski dom
- mówię patrząc w jej niezwykle oczy
twoja miłość nie trafiła jednak we właściwe drzwi
stanęła obok pogubiona
zatrzymała się obok siebie
i smaku tequili
obok sztalug i nadziei
i nie zbawiła cię od śmierci

- Miłość nie zbawia
Miłość jest zbawieniem

Frida zamilkła
a nad nami wiatr
zaśpiewał wszystkie minione kołysanki

Beatrycze czyta znalezione strofy

Beatrycze znalazła notes
szukając danych właściciela
zagłębiła się w lekturę rozchwianych notatek

*Kiedy zrozumiesz światło ciszy
zorientujesz się
że twoje życie jest całością*

Zachwyił dziewczynę wers o kolorze bezdźwięcznym
zachwyił inny o bezsensie trwania tu i teraz

*Zostałem historykiem bo nie lubię
dzisiejszości*

Beatrycze spogląda na krajobraz
droga mija w cudownym utrapieniu oczu
a w niej drżą emocje gwałtowne niczym burza w górach
Beatrycze stawia ostrożnie stopy
Chusta Abgara powiewa nad powidokiem aureoli
i tak wędrują w jednoosobowej procesji
przez Górę Madonny Grottgera
przez strumienie napęczniałe zapachem derenia
*Nawet ptaki chodzą po ziemi
nawet ptaki nie szybują cały czas
chodzenie po ziemi
jest wstępem do szkoły latania*

Beatrycze fruwa
- wciąż ciekawi ją co skrywa się
za rogiem ulicy nieznanego miasta
wie, że nie odnajdzie autora notatek
ale nadal szuka siebie

I rozumie, że życie bywa filmem Woody Allena
i modlitwą do ... 108 błogosławionych
do 11 000 dziewic
a najczęściej ... do oblicza z Veraiconu

Szuka siebie w Nim

Beatrycze nostalgiczna

Beatrycze wie
 że trzeba umrzeć z życia
 ale nie traktuje tej wiedzy
 w jakiś sposób szczególnie
 ani z atencją ani bez
 po prostu jest dniem dzisiejszym
 lampką wieczornego wina
 najlepiej z Alentejo
 otwartą od wielu dni książką
 Williama Makepeace'a Thackeray'a
 która jakoś przestała się czytać w połowie
 choć nadal jest zaciekawienie
 komu pierścień a komu róża
 przyniosą dobre zakończenie świata
 a na szybie kryształki Swarovskiego
 w aureolach tęcz
 a na szybie wciąż plakat ze Wzgórzem Umarłych
 zmieniającym się wiele razy na dzień
 wraz ze światłem
 dziewczyna
 nie rozstaje się z aparatem fotograficznym
 lecz kiedy rano krople obsiadły gałąź przygodnego krzewu
 błyszcząc jak klejnoty
 nie użyła go
 niech chwila pozostanie chwilą – wyszeptwała
 i poszła swoją drogą
 wcześniej chadzali po niej Norwid i Baczyński
 ale teraz jedynie Beatrycze
 i zabłąkane rybitwy
 odpoczywające od lotu

w antologii poezji o ojcu
 coraz więcej ramek obejmujących nazwiska
 coraz więcej modlitw
 coraz więcej pustki
 trzeba umrzeć z życia
 póki co
 jednak
 trzeba jeszcze biec

Ciemne światło

Gdyby w twoje ręce dostał się ostatni na świecie skrawek papieru
gdyby tak było
to co byś na nim napisał?

*Stopa lewa dziwi się prawej
lewa prawą o zdrowie pyta*

czy może słowa o kalibrze cięższym
od nie w porę odbytej spowiedzi?

coraz więcej pytań pozostaje w cieniu przemilczenia
listy bez odpowiedzi nikną w potrzasku oczekiwania

dom w szczerym polu jest awangardą miasta
czy ucieczką od niego?

Amiranty są marzeniem
którego nie zamierzam spełnić
- trzeba w coś przecież marzyć
i mieć parę książek nieprzeczytanych w zanadrzu
choćby wiersze Grochowiaka
i jeszcze ten grób Boznańskiej
na Cmentarzu Les Champeaux w Montmorency
nieodwiedzony i wciąż w planie jakimś niesprecyzowanym
i nieznane dźwięki Orlanda Furioso
Il Prete Rosso którego tak lubię
i czekanie na to i owo
może najbardziej na owo właśnie
na ab ovo nawet może

a w tumskiej archikolegiacie
dłonie Pantokratora
dłonie mojej Ukochanej

dłonie cieni rozwleczonych po splekanych płytach

podobne?

ciemne światło nad wierszami Grochowiaka
które we mnie błędzą

błogosławieństwo z dłoni unoszące się
może ono odnajdzie mój zaginiony spokój?

Dziennik Beatrycze

Beatrycze prowadzi dziennik
 zapisuje w nim bóle w duszy i w mostku
 opowieści o podróżach różnorodnej wagi
 wkleja między strony
 bilety
 wizytówki
 splecione rachunki
 foldery
 i niewysłane widokówki
 czasem pisze między nimi
 wiersze o prozie życia
 niekiedy wraca do notatek
 najczęściej jednak myśli
 że to nie ma sensu
 Zapiski są ... by być

choć bywają urokliwe
 jak idealne miasta Nikifora
 - piękno bez cienia człowieka
 i nawet sen się nie przemknie
 żeby nie zakłócać słonecznej ciszy

bo po co harmider
 gdy miasto bez ludzi jest lepsze
 czyste jak stal

Jak krew ukamienowanego psa
 powroty do notatek są bez sensu
 to czytanie cieni na chmurze
 i dmuchanie w wiatr

Hamlet by się uśmieiał

ale dziennik jest cierpliwy
 wytrwalszy od bólu z zastawek

... głęboki łyk czerwonego „Lacryma Christi”
 ... jest lekko frizante – perli się na języku
 ... światło w witrażach Mehellere
 ... dziewczyna zamyka oczy
 ... pod powiekami rozkwita tajemny kocioł
 ... wyrażony przez Marconiego w trokiewnym powietrzu
 Beatrycze podąża pięciolinia ulicy Chopina
 ... do Campo Santo
 ... niezwykłego pomnika spogląda w jej zakamarki oczy
 ... zaciekawionych twarzy ze spłaty nowego organu
 ... nad rzeką słowiański krzyż
 ... jak nokturn o miłości
 ... krótkiego dobra które odchodzić
 ... jednocześnie pozostawiając tutaj każdą jego część
 ... miłość pomniejsza się dzieląc ją ... choćby z zapamiętaniem
 „Lacryma Christi” przemienia się
 ... w łzę na policzku
 ... światło gra z liśćmi i poszumem czasu
 ... słoneczny pobłask błędzi gdzieś wokół wieży
 ... w starej bramie cień poety w dyskursie z cieniem wiersza
 ... zmuszone drzwi ewangelickiego kościoła
 ... wydają rozchylać się lekko
 ... zapięte obietnice odkrycia tajni niezmierzonych
 ... lecz dziewczyna otwiera oczy
 ... i popada w rzeczywistość
 ... rozkołysaną późną wiosną

Noli me tangere

Nie zatrzymuj mnie w moich grzechach
i nie wódz na pokuszenie
kto ma uszy niech słucha
- wysłuchaj mojej modlitwy
i nie zatrzymuj mnie
w moich grzechach

pozwól
poczuć smak
zwyczajnej ciszy

nie ufam ludziom którzy się jej boją

pozwól na leniwe śledzenie
rysunków grawerowanych na niebie
przez jerzyki
wędrowne Apus Apus

na oglądanie błękitnego piórka
zgubionego w trawie
przez przechodzący wiatr

noli me tangere

proszę

Powidok miasta rozkołysany wiosną

Beatrycze trzyma w dłoni kieliszek z winem
z gron ze stoków Wezuwiusza
bierze głęboki łyk czerwonego „Lacryma Christi”
płyn jest lekko frizzante – perli się na języku
niczym światło w witrażach Mehoffera
dziewczyna zamyka oczy
pod powiekami rozkwita tajemny kościół
wyrzeźbiony przez Marconiego w troskliwym powietrzu
Beatrycze podąża pięciolinią ulicy Chopina
na Campo Santo
z niezwykłego pomnika spogląda w jej zamknięte oczy
troje zaciekawionych twarzy ze spatynowanego brązu
a nad nimi słowiański krzyż
jak nokturn o miłości
jedyne dobra które odchodząc zabiera się stąd
jednocześnie pozostawiając tutaj każdą jego cząstkę
miłość pomnaża się dzieląc ją ... choćby z zapachem traw
„Lacryma Christi” przemienia się
w łzę na policzku
światło gra z liśćmi i poszumem czasu
słoneczny poblask błądzi gdzieś wokół wież mistrza Konstantego
a w starej bramie cień poety w dyskursie z cieniem wiersza
złuszczone drzwi ewangelickiego kościoła
wydają rozchyłać się lekko
snując obietnicę odkrycia tajni niezmiernych
... lecz dziewczyna otwiera oczy
i popada w rzeczywistość
rozkołysaną późną wiosną

Edyta Ślęczka-Poskrobko

Siwe dymy
 polne drogi
 ktoś rowerem tam pomyka
 płoty chylą się ku sobie
 w kartoflisku
 znój zamykam
 Lasem
 cicho przemknie człowiek
 czasem wóz zaskrzypi w dali
 pies otworzy jedną z powiek
 sennie stróża poudaje
 Może kędy
 przez opłotki
 przyjdzie dziad
 jak dawniej było
 wplecie wątek ten w opowieść
 bajać będzie miło

Kiedy zima wychyla się
 z ram horyzontu
 budzą się kominki w domach
 a z zakurzonych kątów
 wysuwają się senne bossanowy
 machasz im ręką na do zobaczenia
 wchodząc radośnie
 w zimowy krajobraz

Odblask świecy na szybie
 alternatywa rzeczywistości
 szarpniętej struny w gitarze
 śnieg czai się pod progiem
 łąsi do butów, czaruje
 by wejść za nami w światło izby
 ogrzanej sosnowym drzewem
 brutalnie zostawiamy go za drzwiami
 za szybą kładzie się miękko
 malując paprocie
 zaglądając nam w oczy
 zmętniałe wódką i muzyką

Pędzimy w czasie
i przestrzeni
na niciach życia
zawieszeni
jak kolorowy puch
z motyli skrzydeł
Wiatr nas przegarnia
tu i tam
i niby w tłumie
każdy
sam

Wszystkie liście spadły z drzewa
sady jabłek pozbawione
czemu się mój miły gniewasz
wzrok odwracasz w inną stronę?

Błąkam się po naszych ścieżkach
gdzieśmy żartem się bawili
krotochwila już nie mieszka
w pozbawionej ciebie chwili

Zwiędły lilie, które dla mnie
wyłowiłeś latem z toni
chłód jesieni uświadamia
że mnie dzisiaj nikt nie goni

Lipiec a jakby jesień stała w progu
i szaruga słońca otulona cicho otwieram
sypią się połówki zdjęć jak liście jesienne
i pomiędzy nich pierwiosnek suchy
na dół wypada i w serce uderza
wspomnień wieża

Pamięci Wołkowa

Myślicie, że od nas odszedł?
Długą, samotną drogą?
Tą, którą jeszcze
bliscy iść za nim nie mogą
patrzyliście jak odchodził
odprowadzili kawałek
trochę łez i westchnienie
komuś się z piersi wyrwało

A przecież tam tylko ciało
dusza została z nami
unosi się zachwycona
nad Supraskimi łąkami
gdzie wschody, zachody słońca
gdzie bocian, gdzie wozy z sianem
gdzie droga w dali się płącze
i rosa spada nad ranem

Idzie przez las zakosami
przestrzenia,3 co nie ma końca
staje pod kapliczkami
w promieniach złotego słońca
w gwiazdy zapatrzy się czasem
stojące ponad płotami
wpisana w krajobraz podlaski
na zawsze zostanie z nami

Deszczowy Lipiec

Deszcz pada na ziemię jakby jesień stała w progu
lipcowe noce płaczą nad rajem utraconym
czyżby wspominały pagórki pod Kamieńcem
mgliste poranki na łąkach zagrabionych,
co się stogami w niebo chciały wspinać
pachniała koniczyna

Chmura za chmurą pędzą w swym galopie
jakby na koniu po błoniach niedorośle chłopię
zapamiętane w pędzie, wiatr wplątany w grzywie
krzyk radosny w gardle pięty w konia boki
wbite natarczywie jak rzepy we włosy
a na polach kłosa

Tak się dzisiaj mieszają w tym dżdżu oba czasy
tamten niemal zapomniany i ten nam współczesny
deszcz je splata w warkocze co koroną siwą
otaczają głowy naszych babć i ciotek
w opowieściach wesołych biorą swoje żniwo
w nich każda podlotek

Lipiec a jakby jesień stała w progu chłodem
i szarugą siną otulona cicho otwieram szuflady
sypią się poźółkle zdjęcia jak liście jesienne
i spomiędzy nich pierwiosnek suchy, blady
na dłoń moją wypada i w serce uderza
wspomnień wieża

Janina Puchalska-Ryniejska

nadmiarem wrażliwości
rozkwitem uczuć
napętniona
chwytam
kolorowe słowa
niby deszczu krople
w czas upału

by malować
pędzlem poezji
obrazy o
miłości
dobru
pięknie
i
o losu zmaganiach

Burzowy świt

kopuła nieboskłonu
w monotonii szarości
przecinanej błyskiem

w krajobrazie ziemi
rzęsiste krople
spłukują kurz
dialog wiodą szumny
ze skrzydłami dachów

za szybami
w ludzkich gniazdach
budzi się
codziennność

noc zeszła z dyżuru

jeszcze krople perł

dekorują

ciebie ziemio

w objęciach

jasności ranka

biegnę do odległej szkoły*

wiatr wiosenny

skroń owiewa

bielą dzwonków konwaliowych

uśmiech śle

przydrożny las

w dali

wstążka rzeczki lśni

pod rozległą serwetą

błękitu

uskrzydłona pieśń rozbrzmiewa

skowronkową nutą

* Brańsk - 5 km

szumi wokół las

symbol piękna ziemi*

pulsujący kolorami

wiosny jesieni lata

drzemie w bieli zimy

kołysany ciszą

dom

dzika jelenia wiewiórki

filharmonia

ptasich koncertów

dla istoty ludzkiej

zachwyt i

ukojenie

* Ks.Bp T.Kubina

Pobudka

na liściowych klawiszach
wiatr pobudkę gra

w objęciach mgieł
srebrem rosy zdobiony
budzisz się lesie

wyruszają na żer
wysmukłe sarny
łosie strojne w łopaty

upierzona armia
miecze skrzydeł wznosi -
otrząsa się ze snu
donośnym szczebiotem
wita
rodzący się dzień

pod rozległą serwetą
błkitu
uskrzydlena pieśń rozbrzmiewa
skowronkową nutą

(synowi Bogdanowi)

jak daleko dopłynę
rzeką matczynej miłości
wezbraną tęsknotą
z rozdygotanym sercem
otwartym na oścież

i ciągle
pustką przed sobą

niezwykle gorzki
TEN SMAK
oczekiwania

czy długo jeszcze...

ze Jezus Ch.
w piątą we popołudnie
popelni samobójstwo
przybijając się
do krzyża
w celi
w której
jak donoszą media
zapała się kamera monitoringowa

o powyższym zawiadamiają
pograżeni w ból
Judeasz

Erazm Stefanowski

GŁUPSTWO KRZYŻA

za duży
 jak na moje oko
 za ciężki
 by leżeć
 na sercu
 zbyt krzykliwy
 by nabrał się
 na otwarte usta
 myśli
 że z duszą na ramionach
 złapie Boga
 za nogi
 a wcielony
 na amen
 płacze się
 na łańcuchu
 posrebrzanego sumienia

niby głupstwo
 a drażni

o rany

OSKARŻONY JEZUS CH.

dziś
 w godzinach nocnych
 aresztowany został
 Jezus Ch.
 podejrzany o kierowanie
 zorganizowaną grupą przestępczą
 i pranie brudnych pieniędzy

bohater afer
 bułkowej i rybiej
 oraz cudu bimbrowego

intensywne śledztwo
 podjęte w poniedziałek
 udowodni
 ponad wszelką wątpliwość
 że Jezus Ch.
 w piątkowe popołudnie
 popełni samobójstwo
 przybijając się
 do krzyża
 w celi
 w której
 jak donoszą media
 zepsuła się kamera monitoringu

o powyższym zawiadamiają
 pogrążeni w bólu
 Judasze

FRASOBLIWY

to śmieszne
byś płakał
gdy już nikt nie zrywa
boków
z Boga

dla mnie też umarłeś

nie jestem przecież
aniołem

stąпам twardo
po całunie
chmur

mam wiecznie czas
łaknąć Cię
jak chleba
odartego ze skóry
połączanej świętości
zanurzonego po uszy
w winie

nie krępuje mnie
poranione ciało

tylko łyż
przerastają

WIELKI PIĄTEK

spuszczona głowa
cisza
zgięte kolana
ból krzyża

tylę jestem wart

królu?

W tym co kocham - królu w głębi

Tutaj Bog przechadza się jak w ogrodzie

Kozłowi młodość młodym kwiat w ogrodzie

Nie pyta się gdzie... Gdzie On się ukrywa

Lekki powiew wiatru... szumie wiatru

Krzyż na Giewoncie, Morakie Ono

Na twarzy małego szlachetnie

Światło dnia pierwszego... ogień

Tym żyję - co kocham całym sercem

Józef Suchocki

Słowo

Wzleci w pokorze, sercem wzbudzone
Słowo- co w jedność z czynem splecione
Niesie w moc kochania w nurty wieczne
W dom - potoki i ścieżki słoneczne

O słońce poranka, Ojciec w niebie
Słabe, niezdarne kroki bez ciebie
Niech dłoń Twoja - w cykl rzemiosła
Moją bierze - by świt świata niosła

I szepce promień wiary na skroni
Aż w pokłonie serce się rozdzwoni
Dobre wieści płyną dla Ojczyzny
Niosąc wolność - z rosą dar żyzny

Słowo - mocą unosi z klęsk ogromu
W tęczę ramion ojcowskiego domu
Gdy dłoń boska kreśli dzień spokojny
Więcej znaczy niż wygrane wojny

Po co idę w góry

Jeśli chcesz wiedzieć po co idę w góry
To musisz zobaczyć poczuć duchem
Jak promień słońca rozprasza ciemności
Jak rodzi łuk światła dla radości

Im wyżej - na szczycie śpiewy anielskie
To co ziemskie i to co niebieskie
W aureolę cnót się zlewa w jestestwie
W tym co kocham - tkwię w królestwie

Tutaj Bóg przechadza się jak w swym raju
Rozkwita miłość niczym kwiat w gaju
Nie pytaj się gdzie ... Gdzie On się uśmiecha
Lekki powiew wiatru... tchnienie ducha ...

Krzyż na Giewoncie, Morskie Oko w błękicie
Na twarzy maluje nagie szczęście
Światło dnia pierwszego... błyska sekretem...
Tym żyję - co kocham całym sercem

Zaprowadź na Twą górę świętą

Góry wzywają, swoje dziecię
W potokach odkrywając tajemnicę
Krzyż Giewontu i Morskie Oko
Duszę w niebiosy wynoszą wysoko

Góry wieją dobrą nowiną
Poezja cicho gra kosodrzewiną
W tym uścisku jasna pociecha
Ożywia siły, wzmacnia wolę ducha

Papież zostawił ślady bycia
Na ścieżkach - dla zmiany naszego życia
Jak krzesi się ogień w ofierze
I jaką moc mają ciche pacierze

Z okna, widzę szczyty strzeliste
Więc mam prośbę szczerą – to oczywiste
Zaprowadź na Twą górę świętą
I pomóż wzlecieć w krainę wieczystą

Nasi bracia

Nasi bracia Polacy, wielcy krajanie
Często słyszeli głos wzywający
Podążali w góry, na ciche spotkanie
Tam przechadza się wszechmogący

Obecność Boga bowiem jest jak Itaka
Stroi organy na światła stronę
Pieśń gór staje się struną duszy Polaka
Co kocha istnienie nieskończone

Szczyty gór krzyż na Giewoncie oraz drzewa
Wszystko w jeden koncert życia spina
Na słodkich strunach ciszy - kantyki śpiewa
Bliską rodakowi w duchu Chopina

Polsko
moja Ojczyzno ukochana,
i sztandar
i płomień
i rygnął w koronie
mówią o Matce z Jasnej Góry
danej ku naszej obronie

Nie wiem

Nie wiem co mnie tutaj trzyma
 Gdy w przestrzeni klucze ptaków
 Otwierają drzwi – fala ruchoma
 A starzec idący aleją krzaków
 Laską łuska złote liście
 Jakby przeglądał minione życie
 Szukając ziarna – chyba gorczycy
 Może ukrytej w nim mocy wiary
 Co na szali życia więcej znaczy
 Niż wszystkie nasiona ziemskiej miary

Nie wiem co mnie tutaj trzyma
 Motyl wyszedł z kokonu
 Została otwarta jasna brama
 Do lotu w pieśni wolnego dzwonu
 Anioł nad grobem - dziwi się!
 Że żywego wśród zmarłych szukają
 Może ten krzyż i ramiona rozpięte
 Co w locie w niebo większą moc mają
 Niż wszystkie skrzydła razem wzięte

Polsko moja

Polsko
 moja kraino ukochana
 i słońce
 i księżyc
 i gwiazdy na błoniach
 mówią o Ojcowskich dłoniach
 z Wolną Przestrzenią Światła

Polsko
 moja Matko ukochana
 i wiatr
 i woda
 i krzyż na Giewoncie
 mówią o Twojej miłości
 o otwartym źródle Zbawiciela

Polsko
 moja Ojczyzno ukochana,
 i sztandar
 i płomień
 i ryngraf w koronie
 mówią o Matce z Jasnej Góry
 danej ku naszej obronie

Gdy wszystkie światła pogasły
 A zapory ocalenia pękły
 Naród zagrożony w mroku
 Ujrzał światłość w potoku
 Matkę Bożą – Jasną Górę
 Niosącą ocalenia
 Z fal potopu

Na rodaków spotkanie

Polskie wydało cię plemię
Byś radość życia niósł
Pod każdą strzechę:

Tam, gdzie nienawiść – miłość
Tam, gdzie gniew – przebaczenie
Tam, gdzie zaciśnięta pięść – podanie dłoni
Tam, gdzie prywatna – troska o sprawę narodu
Tam, gdzie chory, głodny, bezdomny - dłoń samarytańska
Bo chciałeś by rządzący i poddany
Żyli jednym prawem:
Miłości Boga i bliźniego
Ten koncept życia
Podałeś jak chleb powszedni
Na ołtarzu ubrany w szatę świętości
Którą jako dar w sercach niesiemy
Jako najświętsze wezwanie
Na każde rodaków spotkanie

My w Polsce

*Motto: My w Polsce wszystko postawiliśmy na Matkę Bożą.
(kard. ks. St. Wyszyński)*

My w Polsce
Kochamy Matkę Bożą
Ona ma otwarte ramiona
W które biegniemy się skryć
Ona nas przytuli – jak nikt nie przytuli
Wysłucha – jak nikt nie wysłucha
Obroni – jak nikt nie obroni
Przeprowadzi – jak nikt nie przeprowadzi
Matka Boża – nasza Jasna Góra

To Ona prowadzi nas do Boga
Po śladach swego Syna
Jakby chciała by nasza droga
Rozkwitała jako ojczysta kraina

My w Polsce
Kochamy Matkę Bożą
Jej serce to nasz schron
Ona nas kocha – jak nikt nie kocha
Uczy miłować Boga – jak nikt nie uczy
Uczy kochać bliźniego – jak nikt nie uczy
Uczy wybaczać wrogom – jak nikt nie uczy
Zaszczepia wiarę – jak nikt nie zaszczepia
Matka Boża – nasza Jasna Góra

Gdy wszystkie światła pogasły
A zapory ocalenia pękły
Naród pogrążony w mroku
Ujrzał światłość w potoku
Matkę Bożą – Jasną Górę
Niosącą ocalenie
Z fal potopu

Łukasz Szymański

Od redakcji:

Autorem poniższych tekstów jest Łukasz Szymański - polski raper i propagator kultury kresowej, znany m. in. za sprawą płyty „Bard” i „Czas Vendetty”. Zdecydowaliśmy się na ich publikację, świadomi oryginalności i świeżości przekazu płynącego z muzyki artysty. Pisanym przez Szymańskiego tekstem zawsze towarzyszy muzyka, dlatego jego „wiersze” wyróżniają się specyficzną składnią i stylistyką.

AMOR PATRIA NOSTRA LEX

Rzeka łez do morza wpływa
Powstań Ojczyzna wzywa
Obowiązek na barkach dźwigasz
Testament dziada, ojca, syna
Głos biało-czerwonych brygad
Podziemny sąd wyrok wydał
Hienom niedaj się poniżać
Myśl między wierszami czytaj
Prawdy nie dała nam szkoła
Prawdę o nich i o nas przyniosła ulica
Historia magistra vita est
Historia nauczycielką życia
Jesteś ofiarą manipulacji w beztlenowym akwarium plankton
W szufladzie mam ich dyplom, płacę podatki, pytam gdzie mój banknot?
Kto wierzy w prawo tego o szóstej rano wybudzą ze snu
Zamknięty układ ma się dobrze, puszką pandory chcesz protestuj
Tylko głupiec człowiek naiwny wierzy jeszcze w słowa tych kłamców
Chamy bez szkoły, ubeckie dzieci, komunistyczna parada zdrajców
Tu jest Polska odwagi bracie podejdź do lustra spójrz sobie w oczy
Gdzie twój honor, gdzie twoja duma, gdzie ambicja powiedz dosyć
Czas zadać cios to głos ulicy ich media boją się tego głosu
Kolejny rok w tym samym miejscu stoję bez maski jestem gotów

Mogą ci obiecać wszystko i tak żaden z nich nigdy nie dotrzyma swoich słów

Dadzą igrzyska na ustach niosą miłość ich zainfekowane serca zimne jak lód

Po co wypruwasz darmo co dzień swoje żyły jak nie masz czasu aby poczuć chwili smak

Musisz być silny, nie liczyć na nic, liczyć na siebie, zwycięstwo pachnie jak na grobie wroga kwiat

Media kłamią o nas

W felietonach piszą fanatyczny rap

Słowa celne jak Baret M82

Atakuję ich polityczny świat

Brudne statyski maskarada kłamstw

Dość fałszowania historii kart

Nie złamią nas ku wolności marsz

Ośloną noc łopot flag

Z ich szaf wypadają trupy

Chcą wmówić, że Europa da się lubić

Marnowane szanse ludzi

Sprzedali kraj czas się budzić

Chcą cię kupić za eurosrebrniki

Bracia piszą zza granicy

Ich lżejszy chleb ma smak gorzycy

Tęsknoty i łez rodzin rozbitych.

Dosyć ani minuty dłużej

Nie chce patrzeć na gęby tchórzy

Burze wokół życiorysów

Sprzedali dusze banda hipokrytów

Pytam gdzie moralne prawo

By zabronić iść na ramieniu z flagą

Spiskują celem chaos

Wycelowują działa

Gdzie jest wolność słowa

Przecież mamy demokrację

Brunon już szykował zamach

Źle zaadresował paczkę

Tajne służby prowokacje
 Na stadiony sankcje
 Prawda różne ma oblicza
 kto ma władze ten ma ma racje
 Żydokomuna czuje presję Naród wstaje z kolan
 Tu nie pójdzie im tak łatwo jak na Wzgórzach Golan
 Sodoma i gomora kontra silna wolna wola
 Echo sławy Psiego Pola niech zabrzmie anielski chorał

Aniele boży strózu mój ty przy mnie stój
 Co wieczór tymi słowy modłę się o spokojny sen
 Kolejny dzień przyniósł mi ból jak kolce róż
 Użycz mi swych skrzydeł i odlećmy gdzieś
 Aniele boży strózu mój ty przy mnie stój
 Nie pozwól mi tej nocy znów obudzić się
 Ulica śpi milczy jak grób za oknem chłód
 Ty od najmłodszych lat od zła strzegłeś mnie

Znowu czas staje w miejscu i przechodzi mnie dreszcz
 Słyszę bicie swego serca on nagle pojawia się
 Potykam się spotykam go upadam gdzieś
 Podnoszę się ocieram łzy zaciskam pięść
 Dlaczego zło do mnie powraca ej
 O wiele nie proszę cię
 Czemu ode mnie odwracasz się
 Przecież zawsze szliśmy przez to życie razem
 Wiem na najważniejszych skrzyżowaniach nie ma drogowskazów
 Czekam na świt by zobaczyć co za zakrętem
 Widzę więcej, idę szybciej, słyszę ciche szepty
 Miałem plany marzenia wszystkie gdzieś uciekły
 Coś mówi nie goń ich serce podpowiada biegnij
 Biegnij ile sił, ile tchu masz w piersiach
 Ile siły w mięśniach szukam swego miejsca
 Nieraz upadałem poto, aby powstać i zwyciężyć
 Po to by zjednoczyć z własną duszą cały wszechświat

CZARNE PTAKI HISTORII

Kto zapomina o swoich korzeniach spędzi życie w cieniu obcych drzew.

Czarne ptaki historii one powiedzą ci o tym
 O czym by chcieli zapomnieć wymazać z książek i wspomnień
 To dusze ukryte w drzewach słowa wpisane w chodnik
 Niczym odbite echo niewysłuchanych modlitw
 To zdjęcia ludzi honoru listy pisane zza grobów
 Portrety szczęśliwych rodzin rozbitych z byle powodu
 Testament mojego miasta zabranych przez kolej carską
 W odległe zakątki wschodu ich kości do dziś tam marzną
 Czaszki z dziurą po kuli pogrzebane bez trumien
 W murach lochów wyryte inicjały więźniów sumień
 Żołnierzy niezłomnych drugiej Rzeczypospolitej
 Dziś powstańcie do apelu to mój hołd ze słów i liter
 Wszyscy którym o świecie w celi zapalili światło
 Poddali ich torturom a kat dusił jak imadło
 To za co oddali życie nigdy nie umarło
 Idę śladami zbrodni krzyczeć chce na całe gardło
 Ocal od zapomnienia ocal od zatracenia
 Te wartości które w sobie nosisz z racji pochodzenia
 W korzeniach starych drzew ukryta jest tożsamość
 Czarne ptaki wciąż czekają o zmierzchu nas wołają
 Głos zagubionych dusz zza drewnianych wrót zardzewiałych kłód
 Śladem stóp na stary bruk idę
 Dopóki nie odnajdę ich idę, nie odnajdę się idę
 Patrząc na to co prawdziwe póki żywe.

To czarne ptaki historii ukryte w koronach drzew
 Wołają do nas usłysz ich śpiew
 To czarne ptaki historii dusze bijących serc
 Ocal od zapomnienia one wołają cię.

Dziś nad moim miastem jakby mniej czarnych wron
 Nie ma drzew na skwerze inny rytm wybija dzwon
 Cisza w Kinie Ton, mijam znaki czasu
 Brama do nowego bloku pokój w cieniu tarasu
 Opuszczone drewniane domy, ich zabite okna
 Nocami ogień pochłania mojego miasta historię
 Na dzielnicach już nie spotkasz starych grajków z harmonią
 Co pod balkonami grali podwórkowe melodie
 Szewc na młynowej zszywa mi mokasyny
 Kiedyś harcerz Kaczorowski robił tu zbórkę drużyny
 Sikor po dziadku stanął szukam zegarmistrza
 Siadam w cieniu na drewnianych schodach klimatyczna przystań
 Szacunek starszym odpowiedzialności dowód
 To kim jesteś poza domem jest świadectwem twego domu
 Białystok mała Ojczyzna kochana Polska
 Chciałbym jeszcze raz zobaczyć świat oczyma chłopca
 Sałaciarze na wesolej już nie grają w tysiąca
 Handlarze na bazarze marzą o tamtych pieniądzach
 Ta sama szajka co kiedyś gra w trzy karty na giełdzie
 Paru krawców starej daty dalej swój żywot przędzie
 Wszędzie miejskie koneksje nie tak silne jak kiedyś
 Ale dalej mam na kogo liczyć w razie potrzeby
 Wszystko się zmienia w nas zasady te same
 Wychowani w starych czasach Boże chroń mych ludzi amen

DOM JEST TAM GDZIE SNY

*Ciemna dziś noc trzymasz klucz starych drzwi
Tylko ty znasz smak tamtych chwil
Jeszcze raz popatrz przez tamte okno dziś
Dom jest tam gdzie twoje sny*

Leszczynowa 56 Dziesiątki mój Białystok
Za oknem miałem korty dalej kosz i boisko
Niewiele się zmieniło przeszłość widzę mglistą
Blok niby taki sam inne wokół wszystko

Szybkie dzieciństwo dojrzałem bardzo młodo
Nie zawsze tam gdzie chcę korytarze życia wiodą
Jestem blisko zrozumienia kto przyjaźni wart
Przetasowałem los gram znaczoną kart

Jak to jest że mych w snach wracam tylko tam
Choć mieszkałem w wielu miejscach moje serce bije
Dla tych bloków dla ludzi których mam boku
Na ulicy wokół cały czas czuć niepokój

Ej dzieciak gdzie dziś jesteś patrz czas nam zleciał
Jeszcze tyle forsy w banku do wyjęcia zaczekaj
Przypomnij sobie nas na starych śmieciach jak
Marzyliśmy o wielkich rzeczach dziś uciekasz od

Głosu sumienia a przecież Bóg dał ci talent
Twoja pasja jest jak nieoszlifowany diament
Rodzisz się artystą spalasz gdy dorastamy
Nie dam zgnieść chcę ocalić te kartki z marzeniami

Sami decydujemy dokąd idziemy
Jesteś reżyserem, głównym aktorem swojej sceny
Możesz być autorem marzeń, archeologiem zdarzeń
Tokarzem myśli napędowych albo ich grabieżem

W darze masz wolną wolę, przejmij kontrolę
Oczyść umysł pełnij w nim dominującą rolę
Przeszłość brudne myśli jak chwastów pole
To koniec zapomnij o nich odrzuć pokorę

*Ciemna dziś noc zabłądziłem w drodze na szczyt
Mój prawdziwy dom jest tam gdzie moje sny
Tylko moje
Nie mogą mi tego zabrać
Szept (nie mogą ci tego zabrać nieeee nieeee)*

*Ciemna dziś noc trzymasz klucz starych drzwi
Tylko ty znasz smak tamtych chwil
Dom jest tam gdzie ty tam gdzie twoje sny*

2
Ciemna noc czwarte piętro stoję na blokonie
Fikoł szyja opleciona sznurem nie czuję dłoni
Nie mogę się uwolnić obraz przechyła się na bok
Brak mi tlenu jak kamień w wodę opadam na dno

Sen mroczna noc, sen słoneczny dzień
Odbicie w zwierciadle tego co wydarzy się
Pierwszy dom powraca w snach niczym dobry omen
Stara skrzynia, w której przechowujesz swych tajemnic zwoje

*Ciemna dziś noc widziałem morze łez
Wspomnienia złe ślady na lata dziś jak sen
Dzisiaj chcę pamiętać tylko to co było dobre
Wymarz zły obraz, a pokonasz każdy problem*

Nie bierz na siebie winy za wybory ludzi
Przestań dźwigać ciężar, że zbawisz świat się ludzi
Brud zostaw w starym domu to sekret twojej duszy
Czas skruszyć przymrużyć oczy przed siebie ruszyć

Mój świat

Ej bracie chodź pokażę ci mój świat
 Gdzie niewiele zmienia się od lat
 Wszyscy biegną gdzieś, a tu wolno płynie czas
 Na ulicy wieje chłodny wiatr
 Ej siostró ma chodź pokażę ci mój świat
 Gdzie nie świeci w oczy monet blask
 Wschodni kres w żyłach ognista krew
 Tu osiągam swój wewnętrzny ład
 Jestem stąd, wracam tu jak do źródła
 Zawijaj się, swój szmal i się udław
 Miałem cel, tylko hajs, ulica brudna
 Droga do szczęścia okazała się złudna
 W tym samym miejscu, dalej o krok
 Wysłana energia zatacza krąg
 Dziś wracam mocniejszy wiem komu ufać
 Czysty umysł, siła, spokój ducha
 Skazany na trening uczę swego ciała
 By uczynić je twardym jak skała
 Zamykam oczy, przewijam klisze
 Całe me życie w jednym zeszycie
 I widzę tych MC, ich pusty rap
 Ulicznym pozerom mówię stop
 Mój rap dla ulicy, jak rzut na dzielnicę
 Nie szastam słowami i spełniam obietnice
 Z szacunkiem na mieście witam się z ludźmi
 Żyję wśród swoich, nie jestem próżny
 Cenię skromność, wychowałem się skromnie
 Patrzę w oczy człowieka, który stoi koło mnie
 Szanuję pokorę, znam wagę waluty
 Paru pazernych życie wzięło na buty
 Temu szanuj co masz, pamiętaj skąd pochodzisz
 Największy ból, gdy ktoś bliski zawodzi

Możesz być artystą, być biznesmenem
 Z pasji nie rób dziwki jakbyś był sutenerem
 Styl, wolne flow, tematy szczerze
 Okaż szacunek, gdy wjeżdżasz na mój teren
 Patrz mi w oczy, gdy podajesz mi rękę
 Tak jak mężczyzna lub nie rób tego więcej
 Biegnę przed siebie i nie chcę zatrzymać
 Co mnie tu trzyma, tradycja, rodzina
 Nie szukałem przyjaciół, zawsze byłem stąd
 Wschodni front, me korzenie tu jak dąb
 Nie zdradzałem swoich myśli jak Don Corleone
 Na zawsze wśród swoich, bo tu jest mój dom
 Szanuj matulę, ojca i brata
 Opiekuj się siostrą by była kumata
 Uliczna saga jednego wymaga
 Jesteś w porządku albo z gry odpadasz
 Odwaga nie zawsze idzie w parze z mądrością
 Nie bój się przezorność nie jest słabością
 Wychowany na błędach, nie żalę starą biedą
 Tak samo moi ludzie na banicji za miedzą
 Którzy walczą o wolność, walczą o byt
 Każdy dzień na oriencie, śliski street
 Codziennosc nie zabija ambicji w nich
 Kiedyś wrócą do domu chodź by przez Styks

OPARTY O ŚCIANĘ

Stoję tu oparty o ścianę
 Każdy kamień nieoszlifowany diament
 Zimny bruk pisze swój testament
 Słyszę widzę czuję więcej niż się zdaje
 Wpuszczę kilka monet *monet*
 Tylko kilka monet *monet*
 W puszcze kilka monet *monet*
 Tylko kilka monet

Stoję na ulicy oparty o ścianę
 Gram dwa chwytty na zmianę wokół miasta zgiełk
 Nie słyszę gwaru tylko dźwięk mej gitary
 Zamiast bębnow w puszcze drobnych monet brzdęk
 Puste oczy, na twarzach maski
 W pędzie za hajsem gubią życia sens
 W pajęczynie codzienności z obawy przed nieznanym
 Odbijany od kalki każdy kolejny dzień
 Żyją szybko wszystko obojętne jak umrą
 Rzeczywistość wstrzykuję truciznę do żył
 Pewna jest tylko śmierć niepewne jutro
 By zerwać łańcuchy monotonii brak sił
 Ludzie pragną niewiele szczęścia zdrowia
 Zbyt często widuję bezradnych płacz
 Nadziei bezdroża modlitwy na Boga
 Zła miłość wypadkowa sexu i zdrań

Moje miasto zwą gniazdem nietolerancji
 Od lat żyje w zgodzie tu kilka nacji
 Niesławni „katole”, tatarzy, prawosławni
 W nagłówkach szmatławców ostrzał prowokacji
 Szacunku chce uczyć czerwony zdrajca
 Bo stawiam repatrianta przed imigranta
 Na sercu mi ciąży niedola bratnia
 Nie chcemy bagna, w którym tonie dziś Francja

Powstańcy zesłańcy wiara korzenie
 Tradycja język kultura wschodnia ziemia
 Depczą nasz świat wszystko się zmienia
 Polska ostatni bastion boskiego dzieła
 Dziś mam niewiele, ale to mi wystarcza
 Piję wodę ze studni, a drzewa mą tarczą
 Uśpione w letargu jak w chocholim tańcu
 Kamienie wciąż czekają na szańcu.

Życie to sinusoida, każdy pożąda
 Jak tango milonga toksyczny związek dwojga
 Nie nasza wojna, ofiara hojna
 W imieniu dobra złudna wolność na czołgach
 Wyłączność na prawdę, monopol na przemoc
 Zaostrzone prawo rząd wieńczy swe dzieło
 Nie pamiętam kiedy to się zaczęło
 Przełała się czara na ulicy coś drgnęło
 Jeśli coś kochasz to pozwól mu odejść
 Jeśli nie wróci nigdy nie było twoje
 Szanujesz naród niczym Król Salomon
 Oddaj mu prawdę uwolnij z więzów dłonie
 Nie chcę już więcej słuchać mędrców co pluja
 Na dom co otrzymał od dziadka mój ojciec
 Chwałą Europę jej chore wynaturzenia
 A dążą do tego, aby zniszczyć co polskie

ZABIERZ MNIE TAM

Stań na przeciw mnie jaką stworzył cię Bóg
 Nic nie mów, podaj mi swą dłoń, nic nie mów
 Wiem o Tobie dużo więcej niż mówią twoje usta
 Oczy są zwierciadłem tego co na dnie oceanu duszy
 Stoję tu przed Tobą nie przynoszę nic w zamian
 Spragniony snu, głodny uczuć, zmęczony siadam
 Nie proszę Cię o wiele, połóż dłonie na mej głowie
 Zapomniałem o przeszłości, narodziłem się na nowo
 Pójdziemy przed siebie, nie patrząc w tył, choćby boso
 Będziemy spali pod gołym niebem przykryci rosą.
 Niech nasze czyste myśli ku niebu się unoszą
 W kierunku, w którym odchodzi dzień i łączy z nocą.

*Zabierz mnie gdzie wschodzi słońce
 Zabierz tam gdzie ciemność zanika
 Zabierz tam gdzie noc wita dzień
 Zabierz mnie tam
 Zabierz tam gdzie noc wita dzień
 Tam gdzie noc wita dzień
 Zabierz mnie
 Zabierz tam gdzie noc wita dzień*

Czy nie znając brudu życia doceniłabyś, co piękne?
 Staram się codziennie, dbam o to co cenne
 W cenie co przyziemne, za mną drzwi zamknęte
 Zostań przy mnie choć niepewne drogi kręte
 Nie mogę dać Ci więcej to poza moim zasięgiem
 Podaj mi swą dłoń przed nami strome wejście
 Nie mogę dać Ci więcej niż woda i powietrze
 Ogrzać Cię swym ciepłem, silnym ramieniem wesprzeć
 Ja ostatni bard, pójdę tam dokąd Ty
 Wiem jak zdrada może ranić, jak dławia gorzkie łzy
 Między nami tylko prawda, kłamstwa ani krzty
 Będę walczył o ten ogień do ostatniej kropli krwi

Dziś zabiorę Cię tam, gdzie nigdy nie znajdą nigdy nas
 Wyssij truciznę z moich ran póki jeszcze jest czas
 Ja przemiję swoje blizny czystą wodą z życia źródła
 Popłyniemy pod prąd choć wywrotna nasza łódka
 Błądzisz oczyma, myślami, gdzieś pośród fal
 Jesteś jak biała lilja na tle toni błekitu
 Palcem na wzburzonej wodzie pozostawiasz ślad
 Rozkładasz dłonie jak żagiel pod wiatr
 Bądź czujna podły los potrafi być przebiegły
 Nie zdradź nikomu żadnej z moich tajemnic
 Tylko Tobie mogę ufać, tylko Ciebie jestem pewny
 Nawołujesz na jeziorze Twój śpiew łagodzi nerwy

*Obiecywałam Ci tam, gdzie nigdy nie znajdą nigdy nas
 Wyssij truciznę z moich ran póki jeszcze jest czas
 Ja przemiję swoje blizny czystą wodą z życia źródła
 Popłyniemy pod prąd choć wywrotna nasza łódka
 Błądzisz oczyma, myślami, gdzieś pośród fal
 Jesteś jak biała lilja na tle toni błekitu
 Palcem na wzburzonej wodzie pozostawiasz ślad
 Rozkładasz dłonie jak żagiel pod wiatr
 Bądź czujna podły los potrafi być przebiegły
 Nie zdradź nikomu żadnej z moich tajemnic
 Tylko Tobie mogę ufać, tylko Ciebie jestem pewny
 Nawołujesz na jeziorze Twój śpiew łagodzi nerwy*

Regina Świton

Kasztany

Pod niedostępną ostrogą, w ramionach cienia,
pęcznieją marzeniem. Pocą się z tęsknoty.
A kiedy nadzieją zapuka promyk złoty,
wybuchną gradem ich zbrązowiałe spojrzenia.

Czyjąś dłoń oczarują magią rozsypane.
Kuszące rozety, amulety jesienne
musną wspomnieniem. Wyrudziały, niezmiennie,
okiem słońca rzeźbione, wiatrem całowane.

Z drzew czasu posypią się dojrzałym strumieniem.
Niczym magnesy, porażą chwilą namiętności,
szeptami poezji rozczulą zakochanych.

W dotyku błękitów zapachną orzeźwieniem.
Choć mają twarde serca, wiele w nich czułości.
Takie małe szczęścia. Po prostu kasztany.

Czy nie znając brudu życia doceniłabyś, co piękne?
Starani się codziennie, dbam o to co cenne
W cenie co przyziemne, za mną drzwi zamknięte
Zostań przy mnie choć niepewne drogi kręte
Nie mogę dać Ci więcej to poza moim zasięgiem
Podaj mi swą dłoń przed nami strone wejście
Nie mogę dać Ci więcej niż woda i powietrze
Ogrzać Cię swym ciepłem, silnym ramieniem wesprzeć
Ja ostatni bard, pójdę tam dokąd Ty
Wiem jak wdarda może ranić, jak dławia gorzkie łzy
Między nami tylko prawda, kłamstwa ani krzy
Będę walczył o ten ogień do ostatniej kropli krwi

Dziewczyna z mgły

Otulona, jak cień, bladą salopą ciszy,
tropi cuda. Zanim dzień ocknie się w dolinie,
do niej, znad białej ściany trzcinowisk wypłynie
król bagien. Na ścieżce jej spojrzenie usłyszysz,

odwróci rudawą głowę. Klasycznym krokiem
umknie na stronę. Dziewczyna z mgły pieści rosę.
Kocha szelest robaczka, mech z rozwianym włosom.
Zwiewny pył motyla uchwyci byстрыm okiem.

Dziewczyna z mgły jak ulotność olsowej dali.
Tu i tam wykradnie muzykę barw, odcieni,
monolog wiatru w oratorium jesieni.

Obiektywem duszy dzieło Mistrza utrwali.
A kiedy wena poda jej dłoń i rozkaże,
ona przemieni płótna w biebrzańskie pejzaże.

Poranek

Nad wstęgą lasu pasemko porannej zorzy
jak nić złotej lamy na czerni aksamitu.
Ścielą się kryształowe seledyny świtu
pod majestat słońca. Zanim oko otworzy

już dębów-kronikarzy opasłe brewiarze
jutrznię pogodną niosą Panu na ołtarze.
Puszcza szepcze dojrzałą modlitwą jesieni,
sypie tęsknotą. W oddechu brązów, czerwieni,

sosny, niczym wystrzelone ku niebu wieże,
zielonym chorałem napętniają błękity.
Cisza. Promień, jak snop z boskich oczu rzucony

na ziemię, szelest robaczka w kryjówce strzeże.
Budzi się cud dnia w hymny pochwalne spowity.
Mistrzu mądrości i piękna, bądź pozdrowiony!

* * *

łąka podąża wzrokiem
za bocianim odlotem
jeszcze horyzont maluje
rozwiane żaboty
a już lato dyszy pożegnaniem
snuje się z gniazd nić tęsknoty

tchnienie jesieni
z palet tęczy wyrwane
na czoła brzóz opada
złotym sztafażem

a ponad sennym ziemi ołtarzem
treny oparu niczym dymy
z trybularzy połyskują atłasem
w słońca rannej powodzi

na srebrnej przędzy
tygrzyk odmierza ciszę

lato odchodzi

* * *

noc puka do okien
zasłoniętych ciszą
unoszę bezsenne rolety

złoty lampion pełnią
siecze widnokregi
a ja
niczym motyl wzlatuję
w krajobrazy utkane
z nokturnów gwiazd

gdzieś tam jest mój kwiat

szukam go
na diamentowej łące

adagio przestworzy czaruje
usypia rozmarzeniem

jakże przyjemnie jest patrzeć w niebo

Jerzy Utkin

z cyklu „chleb i kamienie”

chleb i kamienie

to co rzucisz za siebie znajdziesz tuż przed sobą
nie uleci w niepamięć żadne twoje słowo

kamienie zamiast chleba rzucasz wciąż za siebie
winy w sobie nie widząc tak więc miejsca w niebie

jesteś pewien bo przecież żyjesz jak należy
wmawiasz sobie codziennie że już niemal wierzysz

w te brednie oraz kłamstwa którymi się sycisz
porządni dobrzy ludzie nie żadni bandyci

tobie jakże podobni wciąż cię przekonują
że wszystko jest w porządku nic dodać nic ująć

zatem sobie samemu nic do zarzucenia
nie masz pewien nad wyraz czystego sumienia

które z dumą obnosisz gardząc tymi którzy
nie znajdują schronienia w czas największej burzy

ten kto głodny odejdzie spod drzwi twego domu
powróci tu kamieniem w czas rychłego zgonu

kamieni jest wciąż więcej

kamieni jest wciąż więcej czerstwa kromka głodu
 rzucona gestem wzgardy tak z byle powodu

dla żartu co kamieniem u szyi tonących
 pozbawia resztek złudzeń na jawie wciąż śniących

o nagrodzie w niebiosach za cichą pokorę
 gdy każdy odruch buntu przychodzi nie w porę

za to w porę jest zawsze modlitwa i praca
 która tylko nielicznych naprawdę wzbogaca

dając poczucie władzy nad ciżbą spragnionych
 którym tylko zostaje kornie bić pokłony

zamiast bić się z myślami wraz z kolejnym kręgiem
 narasta chęć by uciec i poza zasięgiem

bata i złego słowa nareszcie się znaleźć
 i chociaż raz w tym życiu naprawdę zaszałeć

a potem to już trudno co chce niech się dzieje
 co umacnia w nas wiarę lecz grzebie nadzieję

chleb i igrzyska

igrzyska zamiast chleba niech się ludek cieszy
 władca gminy lub miasta nie do swojej kiesy

co rusz sięga garściami czerpiąc ile wlezie
 ciekawe kiedy wreszcie na tym się przewiezie

kiedy ludek zawoła że rozliczyć pora
 z szastania gminnym groszem swego dyktatora

który jest tak przychylny kuglarzom i grajkom
 a mieszkańców ogłupia wciąż tą samą bajką

o świetlanej przyszłości pracy dla każdego
 byle tylko nikt o nim nie powiedział złego

słowa które kamieniem pociągnie go na dno
 koleżków tych od władzy notowania spadną

będą zatem musieli odstąpić od żłobu
 na głupotę wyborców nie ma tu sposobu

zastąpią ich podobni gdy przyjrzeć się z bliska
 którzy także miast chleba dadzą nam igrzyska

kamień lepszy od chleba

kamień lepszy od chleba tak zgrabnie pasuje
do szyi tonącego i nic nie kosztuje

toczy się przez bezdroża lub zalega w trawie
obojętny na prośby i groźby łaskawie

pozwała łeb roztrzaskać o kamienne serce
więc z ust już nie popłyną słowa tak bluźniercze

że bliźni porażeni tym spazmem rozpacz
nie chcą wiedzieć co taki odruch może znaczyć

nie myli się też nigdy i sam nie zna głodu
by współczucie okazać nie widzi powodu

zastyga w swoim chłodzie niczego nie czując
obojętny na wszystko nic dodać nic ująć

kto Boga wygnał z serca

co na krzyżu rozpięte po ostatnie tchnienie
głupcom głuchym na Słowo zdaje się złudzeniem

nie wypowie ust otchłan bo język jak z drewna
gdy forma strojna w przepych ale treść niepewna

nie pojmie jak należy wcale nie chce pojąć
kto Boga wygnał z serca przed lustrem wciąż stojąc

strojąc się w cudze piórka zawsze pewny swego
bez cienia wątpliwości a na domiar złego

nie znalazł bo nie szukał ujrzał nie uwierzył
przekonany że godnie swoje życie przeżył

Obszukałyśmy wszystkie znane nam miejsca,
oprócz sąsiednich i odległych galaktyk.
Zapytałyśmy wszystkich znajomych i nieznajomych,
oprócz zielonych ufoludków. I nikt nie widział kiedys tam.
Mama i ja też go nie widzimy, choć co chwila szukamy na parapet.
Jednak parapet jest wciąż pusty jak miejsca w naszych ścieżkach.
Dni mijają szybko, ale nadejść nie miją. Ze wróci i zawsze będzie czekał
za trzy, a może cztery dorosłe koty, a po swoich harchach domnie
piąt swój biały żabot.

WRÓĆ PROSZĘ, BO MY CZEKAMY!

błogosławieni cisi

oto jest czas i przestrzeń poza ramą słowa
obszar którego miarą krwi serdecznej mowa

słowo które haniebnie nie oddaje myśli
łzą jest albo kamieniem tego nie uściśli

jego brzmienie fałszywe jak miedź brzęcząca
albo też cymbał brzmiący w oku okruch słońca

po cóż mówić nie mając nic do powiedzenia
łzę do łzy wciąż dodawać kamień do kamienia

cóż można tak zostawić słowo iskra płocha
a cichych błogosławić i milczeć i kochać

Zofia Wróblewska

Czekanie na IMBIRA

Pewnego dnia w ciepłe i słoneczne babie lato
przypadła się do nas mała, ruda kulka jak prezent na początek jesieni.
Taki mały, chory, słaby, ale bardzo potrzebny i kochany kot,
właściwie kotek-przyjaciel i radość życia.

Lecz któregoś wczesnowiosennego wieczoru
zniknął nasz odchuchany, zdrowy już koteczek.
Nie wrócił ze swojego obchodu podwórka.
Taki swoisty koci rytuał – pobiegać, pobawić się
w alpinistę na przydomowych drzewach-
a potem czekać na parapecie na uchYLENIE okna.

Obszukałyśmy wszystkie znane nam miejsca,
oprócz sąsiednich i odległych galaktyk.
Zapytałyśmy wszystkich znajomych i nieznajomych,
oprócz zielonych ufoludków. I nikt nie widział kociego malucha.
Mama i ja też go nie widzimy, choć co chwila zerkamy na parapet.
Jednak parapet jest wciąż pusty jak miejsca w naszych sercach.
Dni mijają szybko, ale nadzieja nie mija, że wróci i znowu będzie rozrabiał
za trzy, a może cztery dorosłe koty, a po swoich harcach dumnie wy-
piąć swój biały żabot.

WRÓĆ PROSZĘ, BO MY CZEKAMY!

7-9.05.2014r.

Kijów

mojej Prababci Natalii
 Gdzie jest Kijów mojej Prababci ?
 Czy jeszcze mogłabym odnaleźć mały ślad,
 okruch miasta z Jej czasów?
 Gdzie jest i jak nazywa się ta ulica?
 Czy stoi tam jeszcze to kino,
 w którym oglądała film „Lecą żurawie”?

Pytań jest mnóstwo- wysokie wzgórze.
 Lecz nie ma już odpowiedzi.
 Bo czas jak gumką do ołówka
 wytarł z pamięci wówczas małej dziewczynki,
 a teraz mojej mamy- wspomnienia Jej Babci.
 I te odpowiedzi są z moją Prababcią,
 TAM, W NIEBIE.

A my jesteśmy jeszcze TU.
 Z rozmową jak niekończące się wspomnienie.
 Wspomnienie jak długi i barwny patchwork.
 Wspomnienie jak sentymalna podróż
 do swoich rodzinnych korzeni.
 Podróż bez wychodzenia za próg.
 Bo to taka podróż w głąb siebie.

17.11.2013r.(rano)- 21.05. 2014r.(noc)

LATO 2014

Poziomki słodkie jak truskawki.
 Truskawki cierpkie jak czarne jagody
 i często małe jak poziomki.

Dni są jak wiosenne, trochę słoneczne i chłodne.
 Albo jak jesień, która zapomniała o ciepłym
 babim lecie i serwuje nam deszcze,
 a w przypływie łaskawości ciężkie, niskie,
 szare chmury oraz zimno, zupełnie jak nie lato.

Taka dziwna pora roku ni to wiosna, ni to jesień,
 z krótkimi przerwami na ulubione
 śródziemnomorskie upały i słońce
 w centrum Europy (może trochę w prawo)

I tylko emocje sięgają tysięczników
 nie tylko za sprawą wydarzeń sportowych-
 Mundialu i Wimbledonu.
 Tragedia, gorycz, ból i rozczarowanie życiem
 towarzyszy jak najlepszy napastnik.
 Lecz jednak udaje się przejąć piłkę - nadzieję
 i lecieć z nią w następny dzień
 jak do bramki, albo by uderzyć w kort
 po drugiej stronie.

5-12.07.2014r

Lecz to wspomnienie przyszło do mnie nagie
 w pewien ni to zimowy, ni to przedwiosenny,
 ni to wiosenny wieczór.
 I tęsknię za tym popołudniem.
 A czy ukryły się w kąciach moich oczu.

MARCYSIA

To stało się tak nagle i za szybko,
 że jeszcze w to nie mogę uwierzyć.
 I długo jeszcze w to nie uwierzę,
 że nie ma cię już piesku
 o smutnych chociaż czasem wesołych oczach,
 Oczy ukochanego psa – Marcysi brązowe i ciepłe
 jak dwie krople dobrej czekolady.

To stało się tak niespodziewanie.
 Przez dwa dni smutniałaś i gasłaś nam.
 A ja do końca wierzyłam.
 A moja mama do końca o ciebie walczyła.
 Bo przecież nadzieja umiera ostatnia...
 że jeszcze będziesz z nami.

I nadal nie mogę w to uwierzyć.
 I długo jeszcze nie,
 że od teraz będziesz do nas mrugać
 w jasną czerwcową, albo grudniową noc
 małą gwiazdką.
 I teraz obie z mamą będziemy czekać
 na bezchmurne noce jak na ciebie psia przyjaciółko.

23.04.2014r.

(w nocy ok. północy)

PEWNE POPOŁUDNIE

W pewne popołudnie lato witało się z jesienią.
 Lecz jesień nie miała odwagi przekroczyć jeszcze progu.
 Stała w drzwiach w deszczowym płaszczu,
 szarym od kropli i białym szalu mgły.

W torbie miała paletę i tuby farb.
 Miała zamiar pomalować drzewa
 w brąz, na czerwień i na złoto.
 Tylko sosny i świerki - wierne zieleni.

Niebieskie niebo uśmiechało się słońcem
 i przeglądało się w jeziorze Sajno
 jak w wielkim lustrze.
 I babie lato snuło się jak w słynnym obrazie.

Art - pies, który zmęczył się bieganiem po brzegu jeziora
 i uparcie wchodzi do malucha...
 A że to wilczur, to była nie za łatwa sprawa.
 Mama uruchamia autko, włączam radio.
 Rozbrzmiewa 5 symfonia Beethovena.
 Art śmieje się szeroko nad moją głową.

Wspomnienie jak slajd na ścianie.
 Art biega po niebiańskich łąkach już od wielu lat
 Nie mieszkam tam gdzie mieszkałam.
 I nawet Fiat odjechał do przeszłości.

Lecz to wspomnienie przyszło do mnie nagle
 w pewien ni to zimowy, ni to przedwiosenny,
 ni to wiosenny wieczór.
 I tęsknię za tym popołudniem.
 A łzy ukryły się w kącikach moich oczu.

3.03.2014r.

Agnieszka Zajdowicz

Chodź, chodź
po prostu
tu
do moich ramion
moich nóg
do niepewności
strachu
zgiełku
co w czaszki
czai się pudełku
uderzaj, kop
pięściami bij
do szklanych
i pancernych drzwi
grymasem groźnym
gryź mnie
żryj
po ciemku
lęku
upij z krwi

Nieczule

A jeśli to wszystko nic nie warte
miłość nie zbawia
a Bóg nie kocha
tylko jesień przychodzi
w za dużych kaloszach
i to jedyna pewność
znowu będzie padać

Dojrzeją jabłka
prędzej niż my sami
zanim się spostrzeżemy
ktoś nas odrze z ideałów
Półnaczy damy się obejrzyć
przez szyby muzealnych gablot
niedotknięci
przez siebie
nawzajem

Piątek wieczór

To nie takie proste
położyć się, zasnąć
policzek w dłoń wtulić
nie czyjaś
własną

Późno już

Patrzemy na wpis w kalendarzu
że coś miało być, a tego nie ma
że ktoś miał przyjść
i nie przyszedł
że kochać miał
na śmierć i życie
nie zdążył
jest cisza
i requiem zegarów
a my zapomnieliśmy
się starać
robić herbatę, kupować fiołki
kłaść na kolana kłębuszki kociąt
późno już
ona zasnęła

List do św. Antoniego

Dzieci mi rosną Panie Antoni
przystały się czepiać spódnicy
jak małpki
całus już tylko ukradkiem
i nawet nie wtedy, gdy boli kolano
życie porasta bliznami zbyt często
mówił Pan, żeby kochać szybciej
niż jeżdżą rowerem
żeby łapać skowronki uśmiechów co rano
zanim się rysy wyostrożą
na perkaty noskach
nim w tęczęwkach oczu
odłoży się szarość
Panie Antoni...
wstaję coraz wcześniej
i co dzień się spóźniam
tak samo

Królowa Malediwów

Wloką się te dni, jakby chciały mnie wziąć na przetrzymanie.
Zegar na kuchennej ścianie przesypuje minuty z jednej do drugiej
alkalicznej baterii. To już nie jest zwykłe krzątanie się przy garach.
To nostalgia, melancholia miesza wczorajszą jarzynową posoloną łą-
mi. Przetaczam po blacie rulony krwawiących wiśniami naleśników.
Znowu najem się widokiem i pójdę odkładać na półki i do szuflad
prześcieradła, na które wysypały się nocą wiersze. Dzwoni w uszach
terkot rozgadanego radia, bez mojej ulubionej piosenki, bez informa-
cji o radości, na którą czekam od miesięcy. Nastawiam na niebieski
płomień zdezelowany czajnik, żeby gwizdał na to wszystko. Obojęt-
nie ściagam z szafki cukier, tylko po to, by był dla mnie słodki jak
nikt.

Czekanie mnie przytłacza. Niech by się już stało, jakkolwiek, tylko
niech już przestaną drzeć nogi i niech się chodzi spać po bożemu.
Kot patrzy przejmującym wzrokiem na kolejny kubek kawy z mle-
kiem, wychodzi pilnować mnie na balkonie, z nadzieją na cudowne
rozdzielenie spadających na posadzkę kropel. Jeszcze tylko parę dni
i będzie jaśniej, a może nie, bo jesień przyszła z chandrą w prezen-
cie, a ja kupiłam jej na przekór, błękitny jak morze na Malediwach
szlafrok. Przechadzam się w nim jak egzotyczna bosa królowa. Ła-
zienka też czeka. Wyzwolona spod okupacji dzieci rwących sobie na-
wzajem włosy z głowy. Lawendowa sól do kąpieli chce mnie przytulić
na zawsze, z wzajemnością. A nogi ciągle drżą. Dojdę do wanny, czy
polegnę na stromych jaworowych schodach z chusteczką przy nosie?
Same niewiadome. Topię po raz kolejny niesforny telefon. Będzie mu
potrzebna intensywna terapia, niech ma za swoje, odzywa się niepro-
szonym gościem.

Zapalam świecę nad wanną, jak nad zapomnianą mogiłą, może
mnie wskrzesi to światło, może nie będę już sama. Płomień umie tań-
czyć, szkoda, że samotnie. Odwieszam na drzwi błękit co mnie tulił,
przez chwilę jestem taką jak mnie stworzono, bez złudzeń i kłamstwa.
Zapadam się i tonę w lawendowej kąpieli, jak szalona Ofelia z bukietem
dzikich kwiatów w rękach. Wyobrażam sobie te wszystkie akwe-
ny, których nigdy nie pokonam wpław i wszystkie wyspy bezludne,

na których króluję. Ciepło mi jak nigdy w życiu. Nawet dłonie i stopy o kiepskim krążeniu się zaróżowiły. Ze wstydu, że gołe, czy z rozkoszy, że je coś ogrzewa? Kafelki na łazienkowych ścianach popłakały się ze wzruszenia. „Królowa się kąpie, królowa się kąpie” szepcze przez słuchawkę armatura. Uwiera mnie w plecy korek, ale on w zasadzie ma uwierać, żeby spełniać do końca rolę czarnego charakteru w tym pomieszczeniu. Takie uwieranie to nic w porównaniu z umieraniem, a przecież oba wyrazy dzieli tylko jedna litera. Kurczą się w wodzie opuszki palców, niby nie wrażliwe a jednak woda robi z nimi co chce. Pewnie się mści za wszystkie zakręcane z oszczędności kurki. Brakuje mi gwiazd na suficie, ale mojej wyobraźni to nie przeszkadza, stwarza taką scenerię, na jaką sobie nie zasłużyłam. Wytyczam sobie sama dalekie horyzonty, nagimi kolanami. Koronę też zafundowałam sobie sama, z szamponu pokrzywowego, a jakże. Spływa mi po ramionach białym welonem. Nigdy się takiego nie doczekałam od innych. Nie chcę znowu płakać, jednak woda do wody ciągnie. Odruchem bezwarunkowym zanurzam twarz pod powierzchnię.

NOTY O AUTORACH

Ewa Alimowska – ur. 1973, ukończyła filologię polską na UW i podyplomowe studia z grafiki, poetka, autorka piosenek. Wydała trzy tomiki poetyckie: *Na imię mi tęsknota*, *Źródło snu* i *Róża pamięci*. Od wielu lat pracuje w szkole jako nauczyciel i instruktor teatralnomuzyczny. Pisze muzykę do spektakli teatralnych, jej zespół teatralny **Carmina** zdobył wiele nagród, w tym ubiegłoroczną grand prix na Powiatowym Forum Teatrów Dziecięcych i Młodzieżowych **Melpomena** oraz nagrodę specjalną za muzykę do spektaklu o Wicie Stwoszu *Zaczarowane drewno*.

Halina Alfreda Auron – emerytowana nauczycielka, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich. Uprawia poezję i prozę. Jej wiersze publikowane były w prasie i w wydawnictwach zbiorowych. Autorka tomików poezji *Jest w Tobie moja trwoga* (2005) i *Bywa taki dzień* (2011).

Danuta Bartosz – poetka, absolwentka UAM w Poznaniu – Wydział Prawa i Administracji. Autorka 18 tomików wierszy, m.in.: *Szukając Jego śladów*, *Zapach kadzidła*. Animatora kultury. Uczestniczka 51. edycji *Struga Poetry Evenings* w Macedonii. Pomieszczona w kilkudziesięciu almanachach, w tym *Who is who Struga Festival* (patronat UNESCO).

Jerzy Binkowski – poeta, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, założyciel i redaktor pisma „Odrodzenie. Pismo serdecznie myślących nauczycieli”. Organizator i reżyser zespołu **Boże Ziółka**. W 1993 roku został laureatem Nagrody Literackiej Prezydenta m. Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za książkę *Głosy pustyni*. Autor tomików poetyckich m. in. *W drodze z Damaszku* (1994), *To nieba odbłask poraził człowieka* (1997), *Na drugą stronę białych brzoź* (2003).

Mirosław Brozio – poeta, nauczyciel fizyki i informatyki w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych w Mońkach. Jego wiersze ukazały się w wielu wydawnictwach i zbiorach pokonkursowych.

Laureat drugiej nagrody w IV Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Wiktora Gomułckiego 2008 w Pułtuskach za wiersz *A Priori*.

Anna Brykalska-Naruszewicz – lekarz, jej wiersze zostały zamieszczone w tomiku *Białystok Poetycki 2011*. Mieszka w Białymstoku.

Eligiusz Buczyński – ur. w 1978 r.; poeta. W 2006 r., w ramach *Świętojańskiej Serii Poetyckiej* Książnicy Podlaskiej wydał tomik poetycki *Oddechy*. Entuzjasta i propagator twórczości Lwa Tołstoja, Charlesa Bukowskiego i Salmana Rushdiego. Mówi o sobie: Eligiusz Buczyński vel Albert Fajn – żyją z różnych przyczyn, ale drugi nie istnieje bez pierwszego.

Apoloniusz Ciołkiewicz – satyryk, poeta, szaradzysta. Autor pięciu książeczek satyrycznych zawierających wiersze satyryczne, fraszki, aforyzmy oraz autor i współautor dwóch tomików lirycznych. Od roku 2012 mieszaniec Białegostoku.

Małgorzata Dobkowska – ur. 2.XI.1966 r. w Białymstoku, poetka, pisarka. Ukończyła WSP (dziś UWM) w Olsztynie. Jest bibliotekarką. Nagrody m.in. w: I Ogólnopolskim Konkursie im. Anny Świrszczyńskiej, *Studium*, Kraków 1999; Grand Prix w XI Ogólnopolskim Konkursie o Laur Klemensa Janickiego, Poznań 2003. Debiut książkowy – tomik *Zatopione w słowach* – ukazał się w 1999 r. Otrzymała Nagrodę Literacką im. W. Kazaneckiego za tom *Azymut* (2006 r.)

Marek Dobrowolski – poeta, autor aforyzmów i fraszek. Amatorsko zajmuje się fotografią i rzeźbiarstwem. Członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Laureat I nagrody w Czerwonym Konkursie Jednego Wiersza Łomża 2010 za wiersz ****pomiędzy mną a śliwą....* Literackim debiutem wydawniczym poety jest tomik *Między ziemią niebem a mną* (2010).

Józefa Drozdowska – ur. w 1954 r.; poetka, autorka książek dla dzieci, bibliografii oraz małych form prozatorskich i dziennikarskich, regionalistka, animatorka życia literackiego, bibliotekarka. Wydała m. in.: *Sanktuarium Maryjne w Studzienicznej* (1997), *Dolina mojej rzeki* (1988), *Miejsce zamieszkania* (1992), *Rozmowy z Izabelką* (1996), *Rzeka Siloe* (1998), *Szpaki dziwaki* (1998), *Miesiące: etymologia, przy-*

słowa, święta (2001). Wyjaśniając siebie (2010), *Do cykorii podróżnika* (2011), *Powołany* (2012).

Bogdan Dudko – ur. 1968 r. w Białymstoku; dziennikarz, redaktor, pisarz i poeta, autor książek *Dolina, 40 i 4 wiersze o miłości* oraz *Włczek Milczek*. Organizator Festiwalu Świat na uboczu. Twórca i wieloletni redaktor naczelnego pisma artystyczno-literackiego „Kartki”, w ramach którego wydał kilkadziesiąt książek prozatorskich i poetyckich (Seria *Biblioteka Kartek*).

Julian Dworakowski – absolwent Nauk Administracyjnych Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Debiutował tomikiem wierszy *Słowa nieutracone* w 2000 r.

Gudel Krystyna – ur. w 1959 r. w Suchowoli; nauczycielka nauczania zintegrowanego i polonistka. (Od kilku lat na emeryturze.) Mieszka z rodziną w Suchowoli. W swoim dorobku poetyckim posiada trzy tomiki: *Sady pozostawione* (2003 r.), *Stopy na ścieżkach* (2008 r.), *Tam rodziły się tęsknoty* (2011), a wspólnie z Joanną Dawidziuk i Joanną Pisarską tomik *Ona z serii Kajety Starobojarskie*.

Izabela Iwańczuk – ur. 1976; poetka. Publikowała w wielu almanachach, antologiach i pismach literackich. Dotychczas wydała cztery tomiki poetyckie: *Róża fraszobliwa*, *Koperta bieli*, *Lunatycy*, *Perły wieczne*. Wybrane wiersze autorki tłumaczono na język angielski, hiszpański, niemiecki, rosyjski i serbski.. Dwukrotna stypendystka Prezydenta Miasta Słupska w 2006 i 2012 roku.

Roman J. Koper – filozof, pedagog, publicysta, nauczyciel akademicki. Urodzony w 1942 roku na Lubelszczyźnie. Autor audycji radiowych o tematyce biblijnej, recenzji oraz artykułów z zakresu nauk społecznych, etyki i religii.

Joanna Kossak – ur. 06.05.1965 r. w Krakowie; malarka. Osiadła na stałe w Białowieży.

Roman Kowalewicz – ur. w 1959r. w Białymstoku; autor poezji, prozy, aforyzmów. Debiut poetycki w 2007 roku. Współautor zbioru wierszy *Krople poezji* (2008) i tomiku poetyckiego *W nurcie życia* (2014). Należy do Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku.

Jan Krupa – ur. 1936 r.; autor około 80. prac dotyczących nauki i praktyki weterynaryjnej. Debiutował tomem wierszy *Misterium pamięci* (1999), a następnie *Znad Dolistówki* (2003) i *Niedokończony różaniec* (2006). Jest współautorem książki *Moje spotkanie z żubrami*. Ponadto opracował książkę *Komendant AK „Witold”* – Antoni Krupa, jest autorem: *EGO – Ełk – Gołdap – Olecko. Wspomnienia lekarzy weterynarii* (2003).

Mariola Kruszewska – ur. w 1959 r. w Suchowoli; nauczycielka nauczania zintegrowanego i polonistka. (Od kilku lat na emeryturze.) Mieszka z rodziną w Suchowoli. W swoim dorobku poetyckim posiada trzy tomiki: *Sady pozostawione* (2003 r.), *Stopy na ścieżkach* (2008 r.), *Tam rodziły się tęsknoty* (2011), a wspólnie z Joanną Dawidziuk i Joanną Pisarską tomik *Ona z serii Kajety Starobojarskie*.

Jan Leończuk – ur. 1950 r.; poeta, eseista, tłumacz. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Autor wielu tomów poetyckich i prozatorskich. Debiutował w *Kontrastach* 1970 r. Jego utwory drukowały m.in. „Poezja”, „Literatura”, „Tygodnik Kulturalny”. Laureat nagrody im. Pietrzaka w 1991 roku. W jego tłumaczeniu ukazały się wiersze m.in. Nadziei Artymowicz, J. Geniusza, Hatifa al-Janabiego. Trzykrotny Laureat Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego.

Grzegorz Nazaruk – z zawodu bankowiec, z wykształcenia rolnik i ekonomista. Od wielu lat działacz społeczny i entuzjasta fotografii, współorganizator wystaw fotograficznych, związany z portalem orthphoto.net. Amatorsko zajmuje się poezją i malarstwem.

Barbara Noworolska – doktor, literaturoznawca, wieloletni nauczyciel akademicki studentów białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka: *Eliza Orzeszkowa: trwanie, pamięć, historia* (2005). Na emeryturze postanowiła nie tylko wyprowadzić się z Białegostoku na wieś, ale także zmierzyć z największym wyzwaniem- pisanem wierszy.

Krystyna Perkowska-Mazerska (pseud. Krystyna Perk) – pisze wierszem i prozą. Autorka tomików poezji *Żar* (1998), *By zdążyć* (2007); aforyzmów *Toast* (2001); angielsko-polskiej bajki *Ruby's Houses / domy Rubinki* (2014). Swoje utwory publikowała na łamach dzienników krajowych i regionalnych oraz w periodykach literackich.

Hubert Piętka – z wykształcenia polonista, historyk, bibliotekarz i informatyk. Interesuje się literaturą, historią, sportem i muzyką.

Mirosław Pisarkiewicz – ur. 1963; poeta i prozaik, autor licznych publikacji o dziejach cmentarzy. Swoje wiersze, opowiadania i materiały o zabytkach sepulkralnych zamieszcza od wielu lat na łamach podlaskiej prasy społecznej i kulturalnej oraz w wydawnictwach zwartych ukazujących się na Podlasiu. Autor siedmiu tomików wierszy i tomu opowiadań *Chłopiec z ulicy Żydowskiej*. Współautor ponad 20 książek o historii Łęczycy.

Edyta Ślaczka Poskrobko – poetka, współautorka i współorganizatorka międzymiastowego projektu poetyckiego *Jesienny liść poetycki* oraz projektu pisanie wiersza w gazecie wraz z mieszkańcami Białegostoku (*Miasto pisze wiersz*). Debiutowała na łamach czasopisma *EPEA* w roku 2000. Autorka wierszy i opowiadań dla dzieci, tomików poezji *Miłośnik*, *Gwiazdnik*, *Podróż na księżyc* (2006) oraz monodramatów poetyckich *Pieśni pragnienia* oraz *Moi mężczyźni*.

Janina Puchalska-Ryniejska – z wykształcenia – pedagog, z zawodu – nauczycielka, z zamiłowania – folklorystka. Uczestniczka i laureatka konkursów literackich, członek Klubu Poetów i Pisarzy Ludowych działającego przy Wojewódzkim Ośrodku Animacji Kultury w Białymstoku. Współpracuje z Klubem Literackim w Siemiatyczach i Literackim Klubem Nauczycielskim w Białymstoku. Autorka tekstów piosenek i wierszy oraz tomików poezji: *Dogonić czas* (2002) oraz *Po ziemi idę* (2006).

Erazm Stefanowski – autor poezji, prozy, felietonów i esejów. W 2006 r. wydał tomik poezji *Zaprawione mirrą*, natomiast w roku 2014 ukazał się debiut prozatorski autora *Nie wiary godne*.

Józef Suchocki – poeta, emerytowany nauczyciel katecheta, absolwent Wyższych Studiów Teologicznych w Warszawie, mieszka w Suwałkach.

Łukasz Szymański - Lukasyo – ur. 1981; polski raper i propagator kultury kresowej. Od 2013 r. Prezes Fundacji Patria Mater zajmującej się upowszechnianiem i pielęgnowaniem tradycji, historii i kultury Polski. Uznawany za jedną z ikon białostockiej rap sceny. Swoją przygodę z muzyką rozpoczął pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Autor m. in. płyt *Na ostrzu noża* (2006) *Czas Vendetty* (2012), *Bard* (2014).

Regina Świtoń – z zawodu nauczycielka, obecnie na emeryturze. Mieszka w Knyszynie. Autorka tomików poetyckich: *Strofy o mojej ziemi*, *W tęczowych szufladach*, *Uśmiechnięty świat*, *W cieniu słów*, *Zabłąkane echo*, *Podlaskie błękity*, *Promyczek*, *Za echem gwiazd*. Współautorka *Kajetu Starobojarskiego Wyjaśniając siebie*. Laureatka wielu nagród i wyróżnień literackich. Jest członkiem Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku.

Jerzy Utkin – dziennikarz, prozaik, poeta. Autor kilkunastu tomików wierszy, w tym dwóch książek z utworami wybranymi: *Nigdzie swój* oraz *Pod żadną gwiazdą*. Dziennikarz redakcji „Tygodnika Nowego” w Pile. Autor powieści: *Czarny Albatros*, *Chwiejnym Krokiem przez bagno* oraz autor tekstów piosenek i trzech książek z wierszami dla dzieci.

Zofia Wróblewska – ur. w 1973 r. w Białymstoku; autorka tomików wierszy *Ocalić dzień* (2010), *Zapach czasu* (2013).

Agnieszka Zajdowicz – urodzona 14 kwietnia 1976 roku w Białymstoku. Mieszkanka Zabłudowa na Podlasiu. Autorka bloga poetyckiego wpoldoszostej.blogspot.com. Jej debiut poetycki miał miejsce w 1998 roku na łamach „Z Zabłudowskiej Ziemi”. W 2006 roku zajęła trzecie miejsce w konkursie poetyckim **Zatrzymaj się ... to przemijanie ma sens ... ma sens** w Katowicach. Laureatka konkursu **Białystok poetycki 2014**. Jej poezję i opowiadania drukuje gazeta „Zabłudów i Okolice”. Debiut książkowy: tomik poezji *Siła bezwładności* (Wydawnictwo Miniatura -2014 r.)

SPIS TREŚCI

Alimowska Ewa	
Po lecie	5
Auron Halina Alfreda	
JUBILEUSZ	6
Bartosz Danuta	
PO 50 LATACH PODRÓŻ SENTYMENTALNA	10
ZŁAPĄC WIATR	11
MÓWIŁEŚ	12
* * * Minione lata	13
* * * Matko	14
JĘK DUSZY	15
* * * Jest taki dom	16
* * * Wiaro	17
* * * Dwie obrączki	18
*** Twój głos	19
*** Jesteś obok	20
*** Kobierzec	21
NIEZNANE	22
Binkowski Jerzy	
VIA LUCIS	23
Karol Wojtyła – CZŁOWIEK	24
STARY NIEDŹWIEDŹ MOCNO ŚPI	25
KRUK	26
NA SKRAJU	27
ALFONS JERZY POPIEŁUSZKO	28
SOLECZNIKI – EJSZYSZKI – JASZUNY: 14.09.2014r	29
CO ZROBISZ PANIE Z JEGO NIEWIERNOŚCIĄ	30
JAKŻE CZUŁĄ A PRZECIEŻ BEZWSTYDĄ	31
ALLELUJA	31

Brozio Mirosław

Pomnik bohaterów	32
Miedza	33
Mezaliani	34
Życie zgodnie z naturą	35
Reprezentacyjna ulica miasta	36
Piknik na wycince	37
Pusty nagrobek	38
Oni	39
Nie było nam to pisane	40
Próby pisania wiersza	41

Brykalska-Naruszewicz Anna

Histerium życia	42
Oswojona przyroda milknie	43
Przeciąganie liny	44
Znajomy zwyczaj	45

Buczyński Eligiusz

Wyścigi kredek	46
----------------------	----

Ciołkiewicz Apoloniusz Bogumił

Rower Czeška	49
--------------------	----

Dobkowska Małgorzata

NA WZGÓRZU MAGDALENY	54
PIOSNKA WINNETOU	55
POŻEGNANIE Z PLANETĄ	57
*** patrzy na mnie	58
*** mówią	59
LOTNE	60

Dobrowolski Marek

*** w domu marzeń	61
*** spijasz skórą słońce	62
*** przestraszone motyle	63
*** zaciągnąłem	64

Drozdowska Józefa

Karnawałowe zabawy we wsi nad jeziorem	65
Święta tuż za progiem	67
Wigilia w domu pod topolą	70

Dudko Bogdan

*** zgaś komputer	73
*** cholernie lubię podróże	74
*** burza idzie	75
*** moje marzenia są jak ocean	76
*** Białowieża Hajnówka Narew	77
*** spokojnie kochanie	78

Dworakowski Julian

Cud życia	79
-----------------	----

Gudel Krystyna

KOBIETA Z ZAPASKĄ	83
NOCĄ	84
DZIESIĘCIU ICH BYŁO	85
POGRZEB MATKI	86
TAJEMNICA KRADZIONEGO CZASU	87
EPITAFIUM DLA DWORU W GRODZISKU	88
NAD POTOKIEM	89
OBIETNICA	90

Iwańczuk Izabela

Ja ważka słów	91
Tęsknota jest kobietą z twoich podróży	92
Kobieta Anioł	93
Kochany	94
Kobieta	95
Pomoc	96
Do współczesnego	97
Msza o zachodzie słońca	98

Koper Roman J.	
Okulary	106
Podróże kształcą	109
Punkt graniczny	112
Kossak Joanna	116
Kowalewicz Roman	
WIGILIA	124
Krupa Jan	
Ciągłe w drodze	127
Niedokończony różaniec	129
Pozdrowienia z Pieczurek	130
Jesień na Pieczurkach	131
Zaczarowana Krępanka	132
Kruszewska Mariola	
ab aeterno	133
w godzinie zmierzchu	134
szeptucha	135
po tykocińskim bruku	136
na ławce	137
amen	138
Leończuk Jan	
*** Od mężczyzny	139
*** chłopięcość utonęła w stawie	140
*** wejdz	141
*** Pęczniała radośnie wiosna	142

*** Jęzory chłodu	143
*** Ojciec w miednicy	144
*** Wywoływanie obrazów	145
*** Tego roku nastąpił wysyp galerii	146
*** drzewiaste marzenia	148
*** posnęli aniołowie	149
*** nie pytaj drzew	150
Nazaruk Grzegorz	
harmonogram	151
obserwuję	152
poczęcie	153
reportaż z Afganistanu	154
wybrałem	155
Noworolska Barbara	
Puszcza knyszyńska	156
WIECZÓR	157
LATO KRESOWE	158
*** Starość	159
HISTORIA	160
NOC	161
BIAŁYSTOK 1970	162
Miasto III	163
ŁOMŻA w lipcu	164
ŻYCIE	165
Ranek	166
Perk Krystyna	
SENTENCJE I AFORYZMY	167
Piętka Hubert	
*** [Być tak prostym...]	172
Księga Życia	173
Mimozы jesieni	174
Nie oburzaj się!	176

O cierpieniu	177
Odezwa – Do wyznawców	178
Spal mnie	179
Wierzę	180
Pisarkiewicz Mirosław	
Autoportret z Fridą Kahlo	182
Beatrycze czyta znalezione strofy	184
Beatrycze nostalgiczna	186
Ciemne światło	188
Dziennik Beatrycze	190
Noli me tangere	192
Powidok miasta rozkołysany wiosną	193
Ślaczka-Poskrobko Edyta	
*** Siwe dymy	194
*** Kiedy zima wychyla się	195
*** Pędzimy w czasie	196
*** Wszystkie liście spadły	197
Pamięci Wołkowa	198
Deszczowy Lipiec	199
Puchalska-Ryniejska Janina	
*** nadmiarem wrażliwości	200
Burzowy świt	201
*** noc zeszła z dyżuru	202
*** szumi wokół las	203
Pobudka	204
*** jak daleko dopłynę	205
Stefanowski Erazm	
GLUPSTWO KRZYŻA	206
OSKARŻONY JEZUS CH	207
FRASOBLIWY	208
WIELKI PIĄTEK	209

Suchocki Józef

Słowo	210
Po co idę w góry	211
Zaprowadź na Twą górę świętą	212
Nasi bracia	213
Nie wiem	214
Polsko moja	215
Na rodaków spotkanie	216
My w Polsce	217

Łukasz Szymański

AMOR PATRIA NOSTRA LEX	218
*** Aniele boży	221
CZARNE PTAKI HISTORII	222
DOM JEST TAM GDZIE SNY	224
Mój świat	226
OPARTY O ŚCIANĘ	228
ZABIERZ MNIE TAM	230

Świtoń Regina

Kasztany	232
Dziewczyna z mgły	233
Poranek	234
*** łąka podąża wzrokiem	235
*** noc puka do okien	236

Utkin Jerzy

chleb i kamienie	237
kamieni jest wciąż więcej	238
chleb i igryzyska	239
kamień lepszy od chleba	240
kto Boga wygnał z serca	241
błogosławieni cisi	242

Wróblewska Zofia

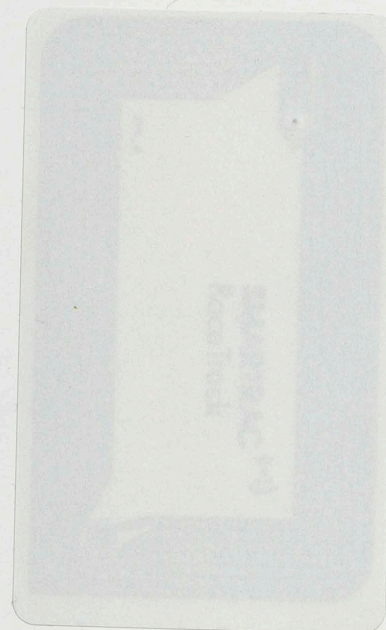
Czekanie na IMBIRA	243
Kijów	244
LATO 2014	245
MARCYSIA	246
PEWNE POPOŁUDNIE	247

Zajdowicz Agnieszka

*** Chodź, chodź	248
Nieczule	249
Piątek wieczór	250
Późno już	251
List do św. Antoniego	252
Królowa Malediwów	253

Noty o autorach

255



Reg.

Epea Almanach, T.13

Czytelnia Ogólna

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-CzC-0030749

ISBN 978-83-63470-38-8